O upadku Francji

Strona 12

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

Boję się klimatyzmu

Strona 10

18 listopada 2022 - *Warszawa – Polska* ***www.nowyswiat24.com.pl*** ***Numer 20(32)/2022***

Czy sojusz polsko-ukraiński jest realny?

W rozmowie z rosyjską niezależną dziennikarką Julią Łatyniną doradca prezydenta Zełenskiego, Ołeksij Arestowycz snuje rozważania na temat wielostronnej i bezprecedensowej pomocy, której Ukraina doznała od Polski i Polaków nie tylko w wymiarze humanitarnym, ale politycznym i militarnym.

Przywołując historyczne odniesienia, widzi szansę na stworzenie sojuszu, który mógłby w naszym regionie Europy uczynić z obu krajów nową potęgę gospodarczą i polityczną, której rola i realny wpływ na bieg spraw na naszym Kontynencie zmieniłby dotychczasowy układ sił. Wskazuje przy tym, że pragmatyzm Polaków pozwolił im zdjąć z wokandy wzajemnych relacji kwestię rzezi wołyńskiej, która w naszej zbiorowej pamięci pozostaje bolesną i niezabliźnioną raną.

Takich obustronnie bolesnych kwestii jest więcej, co w społecznym odbiorze nie pozostaje bez znaczenia. Dość wymienić wzajemnie sprzeczne dążenia niepodległościowe obu narodów po pierwszej wojnie światowej, walki o Małopolskę Wschodnią i Wołyń, oraz zbrojne zmagania o miasta, gdzie dominował żywioł polski, czego najbardziej jaskrawym przejawem była batalia o Lwów.

W efekcie doszło do włączenia Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej w skład terytorium odrodzonego państwa polskiego. Ukraińcy stanowili najliczniejszą, licząca ponad cztery miliony obywateli mniejszość narodową, mieli liczną reprezentację parlamentarną, co stanowiło asumpt do zamachu na Gabriela Narutowicza wybranego na urząd Prezydenta głosami przedstawicieli mniejszości narodowych.

Ukraińcy dysponowali licznymi organizacjami społeczno-kulturalnymi, stanowili 30 proc. potencjału międzywojennej spółdzielczości, ale wszystko to nie zaspokajało emancypacyjnych dążeń nacjonalistów ukraińskich, czego przejawem był zamach na sanacyjnego polityka Bronisława Pierackiego, postrzelonego w 1934 roku przy warszawskiej ulicy Foksal przez Hryhorija Maciejkę – członka Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Ciąg dalszy na stronie 2

Dr Janusz Grobicki

Redaktor Naczelny

Mgła wojny

We wtorek 15 listopada świat wstrzymał oddech. W małej podhrubieszowskiej wiosce Przewodów na skutek wybuchu rakiety S300 dwóch obywateli Rzeczypospolitej straciło życie.

Tego typu broni używają zarówno wojska Rosji, jak i Ukrainy. Dochodzenie w tej sprawie trwa. W piątek 18 listopada miejsce zdarzenia wizytowali eksperci ukraińscy. Do czasu zakończenia śledztwa będą pojawiać się spekulacje dotyczące tego, kto wystrzelił tę rakietę. W tym kontekście najwłaściwsze jest wstrzymanie się od jakichkolwiek kategorycznych stwierdzeń, bo w nieomal każdym komunikacie i komentarzu (bardziej lub mniej domorośli) eksperci, wojskowi i politycy używają słowa-klucza – „najprawdopodobniej". Moskiewska agentura skrzętnie śledzi każdą wypowiedź, analizuje dyskusje w social mediach i wyciąga wnioski – nawet z tych działań informacyjnych, które nie zostały w porę podjęte. Kreml wykorzystuje zebrane dane do szerzenia rozmaitych teorii spiskowych, służących wywoływaniu niepokoju i dezinformacji. W tej dziedzinie Moskale zawsze byli bardzo sprawni i skuteczni, dlatego wskazane jest zachowanie najwyższej czujności i krytyczna ocena zarówno treści, jak i ich źródeł. Nie ulega żadnej wątpliwości, że za tragedię w Przewodowie, oddalonym zaledwie 6,5 km od naszej granicy, całkowitą odpowiedzialność ponosi Rosja. Sytuacja krytyczna związana z tym incydentem stała się powodem do oceny polskiego systemu komunikacji kryzysowej, a z drugiej strony potwierdziła wartość i znaczenie współdziałania w ramach gwarantującego nasze bezpieczeństwo Sojuszu Północnoatlantyckiego. W obliczu zagrożenia wojennego wszystkie sprzymierzone państwa wyraziły zdecydowane poparcie i solidarność dla Polski. Jeśli pułkownik Putin myślał, że uda mu się rozbić jedność koalicji wspierającej Ukrainę, to się przeliczył. Zamiast strachu i wątpliwości, terror ruskich ataków rakietowych jeszcze bardziej scalił wysiłki wolnego świata. Odpowiedzią na bestialstwo agresora będzie zintensyfikowanie pomocy dla Ukrainy. Skuteczność i sensowność tych działań potwierdza wypędzenie okupantów z Chersonia na drugi brzeg Dniepru.

Niemiecka gra na dwa fronty zagraża UE

Niemiecki rząd od miesięcy pracuje nad wielką strategią konfrontacji z Chinami. Trzeba przy tym pamiętać, że rządy Xi Jinpinga to reżim otwarcie dążący „do globalnej supremacji na warunkach, które nie mogą współistnieć z liberalną demokracją" – pisze „The Telegraph".

W pracach nad sześćdziesięciostronicowym dokumentem bierze udział – kontrolowane przez jastrzębich Zielonych – Niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Rząd posiłkuje się też opiniami analityków wywiadu z Bundesnachrichtendienst. Są oni mocno zaniepokojeni dążeniem Chin do uzyskania dostępu do infrastruktury krytycznej i wrażliwych technologii. Niemcy pracują także z Brukselą nad nowym wspólnym unijnym podejściem do Chin. Stało się to konieczne po tym, jak z chińskiego Stałego Komitetu Biura Politycznego zostali usunięci wszyscy ci członkowie, którzy zdawali się dążyć do poprawy stosunków z Zachodem. Berlin usiłuje też przekonać Waszyngton, że nadal może uważać Niemców za wartościowych sojuszników, mimo wcześniejszej serii ustępstw wobec Putina.

Ciąg dalszy na stronie 3

Dlaczego Polska kupuje południowokoreańskie uzbrojenie?

„The Korean Herald" analizuje ostatnie transakcje zbrojeniowe między Polską a Koreą Południową. Południowokoreański przemysł obronny sprzedał w tym roku do Polski systemy obronne i broń o wartości ponad 21 bln wonów (14,7 mld dolarów). To dwa razy większa kwota niż całkowity eksport obronny Seulu w ubiegłym roku. W 2021 r. czołowe firmy zbrojeniowe kraju takie, jak Hanwha Defense, Korea Aerospace Industries (KAI) i Hyundai Rotem wyeksportowały globalnie sprzęt na kwotę 7,2 mld dolarów.

Na liście zamówień znajduje się 48 sztuk zaawansowanych naddźwiękowych, lekkich samolotów bojowych FA-50 (KAI) i trenażerów, 980 sztuk czołgów K2 (Hyundai Rotem) oraz 648 sztuk samobieżnych haubic K9 i 288 sztuk systemów artylerii rakietowej K239 (Hanwha Defense).

W Polsce trwa wymiana starszego sprzętu radzieckiego, a sporą część czołgów oraz innej broni z tamtego okresu przekazano Ukrainie. Koreańskie uzbrojenie jest zaawansowane technicznie i konkurencyjne pod względem możliwości i ceny.

Ciąg dalszy na stronie 2

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

18 listopada 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 20(32)/2022*

Czy sojusz polsko-ukraiński jest realny?

Ciąg dalszy ze strony 1

Brak autonomii Małopolski Wschodniej podsycał tendencje separatystyczne, bojkot wyborów, spisu powszechnego i poboru do wojska. Dwujęzyczne szkoły w praktyce forsowały polonizację uczniów narodowości ukraińskiej, a akcja osiedleńcza faworyzowała nabywanie ziemi na terenach zamieszkałych przez Ukraińców przez uczestników wojny polsko-bolszewickiej.

W czasach ZSRR, zarówno propaganda, oficjalna historiografia, jak przekazy rodzinne utrwalały antypolskie stereotypy i resentymenty, których nie brak do dziś po obu stronach granicy państwowej. Nie przypadkiem Bohdan Stupka, kreujący w filmowej realizacji „Ogniem i Mieczem" rolę Bohdana Chmielnickiego był przez ukraińskich nacjonalistów pomawiany o zdradę narodową. Tamta historia, która skończyła się źle dla obu naszych narodów, a w przypadku Ukrainy doprowadziła ostatecznie do tzw. Ugody perejasławskiej i podporządkowania Ukrainy carowi Aleksemu I.

Potencjał terytorialny Polski i Ukrainy jest znaczny, bo sięga od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego. To urodzajne ziemie, surowce, potencjał demograficzny, energetyka, zasoby wody słodkiej – wszystko czyni z naszych wschodnich sąsiadów atrakcyjnego partnera, pomimo ogromnych strat poniesionych w wyniku trwającej rosyjskiej agresji.

Pytanie, jak dalece uniesienia czasu wojny pozwolą zapomnieć lub trwale wybaczyć wzajemne krzywdy z przeszłości, te prawdziwe i urojone, stanowiące wynik propagandy oraz nacjonalistycznego przekazu, każącego traktować Stepana Banderę – oprawcę Polaków – jak bohatera. Łatwa pokusa dążenia do dominacji z powołaniem się na to, kto pierwszy przyjął chrzest, bądź podporządkował sobie Ruś Halicką i Grody Czerwieńskie, też nie ułatwia sprawy, zwłaszcza że grono tych, którzy wspominają Polskę od morza do morza, nadal pozostaje ciągle liczne.

Na drugim biegunie widzenia wzajemnych relacji jest wielki ukraiński poeta Taras Szewczenko, który w wierszu „Do Przyjaciół Lachów" pisał: „A kiedyśmy byli kozakami za ziemi magnackiej krainą, kochaliśmy dumę wolnych Lachów, Dumką swobody szlachetnej żyjąc".

Dziś Ukraińcy poza prawem wyborczym, dysponują w Polsce pełnią praw, wszelkimi możliwościami rozwoju zawodowego, dzieci uczestniczą w oświacie, wszyscy potrzebujący korzystają z dostępu do państwowego systemu ochrony zdrowia, pracobiorcy są cenieni za pracowitość, sumienność i uczciwość, a ponadto uzupełniają niedobory siły roboczej w transporcie, budownictwie, usługach i handlu.

Ukraina rewanżuje się ze swej strony nie tylko symbolicznie, nadając odznaczenia polskim urzędnikom, ale neutralizuje następstwa skomplikowanych relacji z przeszłości, czego wyrazem jest przyjęcie w lipcu tego roku ustawy o uprawnieniach Polaków i ich rodzin w Ukrainie.

Fundamentem silnych więzi może być otwartość z jaką Polacy przyjęli Ukraińców uciekających przed wojną, źródło: Twitter @Straz_ Graniczna

Jeśli dodać wymiar pomocy udzielanej bezinteresownie przez Polaków, którzy otworzyli swoje domy, serca i portfele uchodźcom i wszystkim potrzebującym, wsparcie militarne rzędu dywizji czołgów, pomoc logistyczną gwarantującą płynność zaopatrzenia we wszystko, co konieczne dla wysiłku obronnego Ukrainy, a dostarczane przez kraje NATO – przyszłe stosunki zyskały nie tylko nowy impuls, ale i silną podstawę.

Pierwsza weryfikacja nastąpi w momencie odbudowy Ukrainy, co nie wiadomo, kiedy będzie możliwe. Nasi zachodni partnerzy wiele sobie po tym już dziś obiecują. Jednak bliskość geograficzna, kulturowa i nowa jakość w naszych wzajemnych relacjach niczego nie gwarantują. Deklaracje o przyjęciu wolnej, suwerennej i demokratycznej Ukrainy do Unii Europejskiej znajdą pokrycie w rzeczywistości. Oznacza to, że powstałaby szansa na stworzenie realnej przeciwwagi dla duopolu Niemiec i Francji. Być może ta myśl inspirowała Św. Jana Pawła II, gdy w czerwcu 2001 roku podczas pielgrzymki w Ukrainie mówił o Europie oddychającej dwoma płucami.

Maciej Małek

Dlaczego Polska kupuje południowokoreańskie uzbrojenie?

Ciąg dalszy ze strony 1

Jak powiedział Yang Wook, specjalista w Asan Institute for Policy Studies, „Korea Południowa jest krajem o dużych zdolnościach produkcji zbrojeniowej, co wynika z jej stałej gotowości bojowej. Może podjąć się masowej produkcji broni w wyznaczonym czasie". Formalnie państwo to pozostaje wciąż w stanie wojny ze swoim północnym sąsiadem.

Chociaż pandemia COVID-19 zachwiała światową gospodarką, południowokoreański przemysł obronny potrafił zapewnić stabilne dostawy. „Na przykład niemiecki czołg Leopard 2 kosztuje około 16 do 20 mld wonów za sztukę, a produkcja około 50 sztuk zajmuje pięć lat. Koreański czołg K2 jest wyceniony na 8 do 10 mld wonów i w ciągu trzech lat może powstać 180 sztuk" – stwierdził urzędnik Hyundai Rotem. Firma ta dostarczyła ostatnio 10 czołgów K2 do Polski w zaledwie trzy miesiące po podpisaniu kontraktu na 180 jednostek. Reszta zostanie do Polski dostarczona w kolejnych partiach do 2025 r.

W ubiegłym roku Korea Południowa była dziewiątym największym eksporterem broni na świecie. Rynek ma rosnąć jeszcze szybciej po oświadczeniu prezydenta Yoon Suk-yeola, który zadeklarował, że uczyni kraj jednym z „czterech największych dostawców broni na świecie".

Jednak współpraca nie ogranicza się tylko do umowy. Państwowe przedsiębiorstwo KAI chce rozszerzyć relacje biznesowo-klienckie z Polską na rzecz partnerstwa, które umożliwi wspólne rozwijanie technologii obronnych w Europie.

„W ramach współdziałania z Polską utworzymy wkrótce centrum MRO. Będziemy tam naprawiać i

Polska zamówiła 980 koreańskich czołgów K2, które należą do światowej czołówki, fot.: Mike Mareen - stock.adobe.com

konserwować FA-50, a także prowadzić szkolenia lotnicze" – powiedział jeden z urzędników KAI. Oprócz umowy handlowej planowany jest więc także transfer technologii. Hyundai Rotem również zamierza zbudować w Polsce fabryki czołgów K2 i haubic K9. Lokalna produkcja ma się rozpocząć w 2026 r.

Źródło: m.koreaherald.com

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

18 listopada 2022 - Warszawa – Polska *Numer 20(32)/2022*

Niemiecka gra na dwa fronty zagraża UE

Ciąg dalszy ze strony 1

Działania na dwa fronty

Jednak posunięcia kanclerza Olafa Scholza raczej zaufania Stanów Zjednoczonych nie wzbudzą. Wbrew sprzeciwowi Ministerstwa Gospodarki i Ministerstwa Spraw Zagranicznych przeforsował on zgodę na objęcie 24,9 proc. udziałów w porcie w Hamburgu, w jednym z trzech terminali firmy logistycznej HHLA, przez chiński COSCO.

Scholz poleciał też w ostatni piątek do Pekinu, nie zważając na protesty partnerów z Francji ani własnych koalicjantów. Udał się tam w towarzystwie szefów kilku firm, takich jak Siemens, BASF, BMW czy Merck. Chcą oni zapewnić sobie korzystne układy kosztem innych członków UE i zachodnich sojuszników.

Przed wizytą o takim charakterze przestrzegał niemieckiego kanclerza też Biały Dom. Amerykanie uważają, że naruszy to jedność Zachodu w czasie, gdy Chiny zagrażają Tajwanowi i wspierają działania Władimira Putina na Ukrainie.

Sytuację trafnie podsumował Noah Barkin z German Marshall Fund*. „Chińczycy widzą podziały w Berlinie i Europie i wierzcie mi, znajdą sposób, żeby je wykorzystać. Jest to absolutnie fatalne" – powiedział.

„Kanclerz zdaje się nie rozumieć niebezpiecznej podatności Niemiec na szantaż" – stwierdził z kolei Kai Strittmatter z „Suddeutsche Zeitung".

Polityka, która dzieli

Niemiecki przywódca „wyraźnie wykluczył szefa Niemieckiej Konfederacji Przemysłu (BDI) Siegfrieda Russwurma, będącego persona non grata w Pekinie, po tym, jak wezwał on do uczciwej dyskusji o tym, jak radzić sobie z autokratycznymi partnerami handlowymi" – pisze „The Telegraph". Russwurm powiedział; „Nie wolno nam unikać konfrontacji, gdy przekraczane są czerwone linie".

Gazeta zauważa, że „takie uparte dążenie Scholza do prowadzenia tak dzielącej polityki przypomina sposób, w jaki Angela Merkel przeforsowała osławione porozumienie inwestycyjne UE-Chiny tuż przed objęciem urzędu przez Joe Bidena, wiedząc, że prezydent elekt jest zbulwersowany jego warunkami, podobnie jak europosłowie w Strasburgu". Tamta umowa oferowała Komunistycznej Partii Chin lepszy dostęp finansowy do UE niż dostęp zapewniony przez demokratyczną i sojuszniczą Wielką Brytanię.

Z drugiej strony można zrozumieć te działania. Rozpada się dotychczasowy, dwudziestowieczny model przemysłowy i część Niemców uważa, że ich kraj jest zagrożony ekonomicznie. Twierdzą, że w związku z tym trzeba iść czasem na kompromis. Jednak szukanie rozwiązania w pakcie z Xi Jinpingiem nie jest niczym dobrym.

Pogorszenie stosunków między Francją i Niemcami

Poważnie dziś dziwi i niepokoi prowadzona przez kanclerza polityka wobec Francji. Nie tylko zablokował on propozycję Emmanuela Macrona, by odbyć w Pekinie wspólną wizytę, ale też próbował zniweczyć równoległą wizytę francuskiego przywódcy w stolicy Chin w tym miesiącu.

Według Jacquesa Attali, francuskiego pisarza i męża stanu, obecnie stosunki między Berlinem a Paryżem są na tak niskim poziomie, że wojna między oboma krajami przestała wydawać się niemożliwą. Ostrzega on, że „Nic nie jest ważniejsze dla przyszłości Francji niż to, co dzieje się teraz z Niemcami. Jeśli w krótkim czasie nie wrócimy na ścieżkę postępu w integracji europejskiej, ustępując sobie nawzajem, runie cała konstrukcja ostatnich sześćdziesięciu lat".

„To oczywiście przestarzały pogląd powojennych elit francuskich, dla których Europa oznacza oś francusko-niemiecką – postawa, która drażni innych Europejczyków i odegrała swoją rolę w długiej drodze do Brexitu" – zauważa „The Telegraph". Jednak rozmowy o „bratobójczej" wojnie są zdumiewające.

Chińska kolej może bić kolejne rekordy prędkości dzięki współpracy m.in. z niemieckim Siemensem. Na zdjęciu Siemens Velaro CN CRH3 na dworcu w Szanghaju, fot. Markus Mainka - stock.adobe.com

„Od czasu powstania Projektu Europejskiego w latach 50. każdy kanclerz Niemiec trzykrotnie kłaniał się przed Tricolore czcigodnym rytuałem, który elegancko maskował niemiecką władzę w Europie za galijskim przywództwem. Od czasu zjednoczenia Niemiec, a jeszcze bardziej od czasu dryfu na wschód pod rządami Angeli Merkel, konwencja ta ma charakter proformy. Pan Scholz przestał nawet udawać" – pisze gazeta.

Macron nawołuje do europejskiej suwerenności strategicznej i wspólnej obrony. Odpowiedzią niemieckiego kanclerza jest przeznaczenie dużej części niemieckiego budżetu na zamówienia publiczne od dostawców amerykańskich. Obniżył wartość europejskiego projektu myśliwców i dronów bezzałogowych (FCAS), a także nowego czołgu, który ma zastąpić Leoparda 2 i Leclerca (MGCS) oraz morskiego samolotu patrolowego (MAWS). Do obrony powietrznej wybrał izraelską Strzałę 3.

Bez konsultacji z UE został uruchomiony w Niemczech też jednostronny program energetyczny o wartości 200 mld euro. Znów zostały przez Berlin zlekceważone nawoływania Paryża, by podjąć wspólne działania w celu uniknięcia szkodliwej polityki „żebrania u sąsiada".

Tymczasem Francja nie zaburza transgranicznej konkurencji w UE poprzez dotacje dla przedsiębiorstw. W związku z kryzysem energetycznym kraj ten przeznaczył 100 mld euro, ale głównie na pomoc gospodarstwom domowym w płaceniu rachunków za paliwo.

Niemcy swoimi działaniami w dużej mierze niweczą marzenie o „hamiltonowskim" momencie i pójściu UE w kierunku unii fiskalnej i trwałej konsolidacji zadłużenia. Berlin nie chce wspólnej emisji długu na wypadek kryzysu energetycznego. Opiera się przekształceniu jednorazowego funduszu pandemicznego o wartości 800 mld euro w coś przypominającego „skarb państwa UE". Nie bez powodu zresztą Niemcy obawiają się tego pomysłu. Widzą, że „Francja i Włochy od dawna planują przeniesienie swoich wydatków na niemiecką kartę kredytową. Jednak Macron ma również rację, że euro nie przetrwa na dłuższą metę bez integracji fiskalnej" – pisze „The Telegraph".

Gazeta zauważa, że „niemiecki unilateralizm w sprawach UE nie jest niczym nowym. Naruszenie unijnego prawa energetycznego (przy aprobacie Brukseli) pozwoliło Gazpromowi zdobyć pozycję na Kontynencie. Stracona dekada strefy euro była tak naprawdę historią o tym, jak północne potęgi wierzycielskie porwały instytucje unijne, by służyły jako windykatorzy długów, a wszystko to zostało zakamuflowane przez fałszywą opowieść o moralności nieudolnych Greków i Łotyszy".

Niemieckie „zjeść ciastko i mieć ciastko"

Już kanclerz Merkel próbowała grać na dwa fronty w kwestii rosyjskiej energii. Udało jej się to zresztą – zapewniając krajowi tańszy gaz Putina i podcinając tym samym europejską konkurencję przemysłową, równocześnie korzystała z zalet rynku UE i amerykańskiej tarczy wojskowej. Teraz z konsekwencjami tej decyzji musi mierzyć się Scholz, który z kolei próbuje zabezpieczyć sobie chińskie rynki i współpracę gospodarczą na preferencyjnych warunkach. On także, podobnie jak poprzedniczka, usiłuje nadal czerpać też wszystkie korzyści z zachodniego klubu demokratycznego. W geopolityce wypada jednak wybrać, na czym się stoi.

Niemiecka trzecia droga jest jednak iluzją – twierdzi „The Telegraph". Nie jest rozwiązaniem w czasach, gdy USA i komunistyczne Chiny walczą o cywilizacyjną i ekonomiczną dominację. Niemieckie bratanie się z dyktaturami, które chcą zniszczyć Zachód, zagraża jedności UE

„Scholz mógłby przeczytać 60-stronicowy raport swoich własnych, bardzo dobrze poinformowanych ministrów, urzędników i agentów wywiadu. Niemcy są albo po stronie Zachodu, albo po stronie anty-Zachodu. Nie mogą długo tkwić w jednym i drugim" – podsumowuje gazeta.

* German Marshall Fund (Niemiecki Fundusz Marshalla) jest bezpartyjnym amerykańskim think tankiem zajmującym się polityką publiczną. Jego celem jest promowanie współpracy i zrozumienia między Ameryką Północną a Unią Europejską.

Źródło: The Telegraph

NOWY ŚWIAT 24
Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

18 listopada 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 20(32)/2022*

Zasoby kadrowe i kwalifikacje personelu w obliczu rosnących potrzeb związanych z rozwijaniem projektów budowy morskich farm wiatrowych

Maciej Olczak

Jeśli chcemy w jakimkolwiek, choćby najmniejszym stopniu wypełnić zobowiązania klimatyczne zadeklarowane w roku 2015 na zjeździe klimatycznym w Paryżu, intensywny rozwój energii odnawialnej w tym między innymi morskiej energetyki wiatrowej będzie nieunikniony. Z aktualnie generowanych ponad 800 GW energii globalnie pochodzącej z wiatru, tylko 57 GW pochodzi z produkcji energii wiatrowej na morzu, z czego mniej więcej połowa przypada na Europę a druga połowa na Chiny. Jeśli utrzymane zostanie aktualne tempo wzrostu tego rynku, w roku 2050 powinniśmy osiągnąć generacje mocy na poziomie 500-600 GW pochodzącą tylko z energii wiatrowej na morzu. Na całym akwenie Morza Bałtyckiego dziś produkujemy niecałe 3 GW mocy, ale jego potencjał jest oceniany nawet na 70-90 GW.

Utrzymanie tak dynamicznej ścieżki wzrostu oznacza nie tylko pozyskanie gigantycznego finansowania, wsparcia administracyjnego każdego z państw, pozwalającego płynnie realizować takie inwestycje czy uzyskanie w systemie aukcyjnym lub w ramach decyzji administracyjnych kontraktów różnicowych gwarantujących stałą cenę energii, ale również zapewnienie właściwych i kompetentnych kadr, które te projekty będą fizycznie realizować.

Zarządzanie taką inwestycją wymaga stworzenia od podstaw sprawnej organizacji będącej w stanie unieść ciężar stawianych przed nią wymagań. Nie ma nic cenniejszego na projekcie niż jego personel.

Projekty w obszarze budowy morskich farm wiatrowych, to projekty zarówno kompleksowe jak i kapitałochłonne, które charakteryzuje duży stopień ryzyka, wymagające wieloletniego przygotowania i planowania, a których rezultaty pracy możemy zobaczyć dopiero po 7-10 latach od ich rozpoczęcia.

Żeby udźwignąć takie zadania każdy inwestor realizujący projekty, musi zbudować sprawną organizację zdolną zarządzać nie tylko podwykonawcami, ale również udziałowcami projektu, lokalną administracją, grupami społecznymi, które mają wpływ na podejmowane decyzje i wydawane zgody czy choćby pracą farmy już w fazie operacyjnej.

W skład takiego zespołu w zależności od wielkości inwestycji czy sposobu wyboru dostawców i podwykonawców, wchodzi od 30 do aż ponad 100 osób na dużych projektach, przekraczających jednostkowo ponad 1 GW mocy całej farmy.

Koncepcja i ułożenie architektury projektu różnią się od siebie. Nie ma jednego modelu, każdy inwestor buduje go inaczej, opierając się na kluczowych elementach takich jak wcześniejsze doświadczenie, rozmiar projektu, współpraca z doświadczonym partnerem czy wybrana strategia kontraktacji.

Pozyskanie stosownych osób może się odbywać zarówno w oparciu o zewnętrznych konsultantów tzw. „freelancerów" lub o wewnętrzne kadry organizacji, albo być kombinacją obu tych rozwiązań. Każdy z tych modeli ma swoje wady i zalety, ale tempo pracy, jakie nadaje dziś rynek, jest tak duże, że inwestorzy nie mają tu wielkiego wyboru i sięgają po najbardziej sprawdzone i najszybsze metody.

Schemat organizacyjny projektu, jest zbliżony do podobnych projektów realizowanych na morzu w segmencie ropy i gazu. Kluczowe pozycje zazwyczaj obsadzane są w ramach personelu pozyskanego lokalnie, ale równocześnie większość projektów jest wspierana osobami przyjeżdżającymi zza granicy, „expatami", którzy od wielu lat pracują na kontraktach i regularnie zmieniają miejsce zamieszkania, przemieszczając się tam, gdzie pojawia się nowy projekt. W wielu przypadkach są to relokacje całych rodzin, w ramach czego inwestor musi zadbać nie tylko o ich logistykę, ale również pokryć koszt wynajmu mieszkań, opłacić edukacje dzieci, wykupić pakiety ubezpieczeń czy wynająć samochody.

Złożoność projektów morskich farm wiatrowych wymaga wielopłaszczyznowej organizacji, w której każda z osób reprezentuje wąską, wybraną specjalność w danej dziedzinie. Jeśli inwestor realizuje wielopakietową strategię kontraktacji, do każdego pakietu przypisany jest odpowiedzialny manager zarządzający tylko tą częścią projektu, blisko współpracując zarówno z działem zakupowym jak i kontraktacji. Kluczowym przy takim rozwiązaniu staje się kwestia zarządzania połączeniami, tzw. interfejsami projektu, które spinają poszczególnych wykonawców, zakontraktowanych osobno w ramach jednego zadania. Przykładem może być tu osobna kontraktacja statku instalacyjnego oraz producenta turbin wraz z serwisem instalacyjnym. Taka metoda pozwala zaoszczędzić inwestorowi duże środki finansowe, jednocześnie generując ryzyko spowodowane rozdzieleniem podwykonawców i zdjęcie z nich odpowiedzialności za pracę każdego z nich osobno.

Ciąg dalszy na stronie 5

Ciąg dalszy ze strony 4

Cały zespół raportuje do Dyrektora Projektu, który dalej komunikuje się z radą nadzorczą złożoną z przedstawicieli reprezentujących bezpośrednio inwestora.

Zespoły budowane są stopniowo, wraz z rozwijaniem się projektu i również stopniowo są demobilizowane, kiedy projekt wchodzi w fazę odbiorów i uruchomień. W tym ostatnim etapie zaczyna się budowa kolejnej organizacji dedykowanej tylko na 25 lat pracy morskiej farmy wiatrowej.

Ilość i intensywność globalnie realizowanych inwestycji w segmencie morskich farm wiatrowych, ciągle rośnie i już w obecnej chwili potwierdza się obawa, że będzie brakować personelu o odpowiednich kwalifikacjach i znajomości branży offshore. Brakuje osób z doświadczeniem, bo nie było do tej pory projektów o takiej skali i nie było, gdzie tych kwalifikacji szlifować. Na początku wydawało się, że ten segment rynku będzie rósł stopniowo, na tyle wolno, że kształcenie i zdobywanie doświadczenia nowej kadry będzie nadążać za rynkiem oraz że nastąpi duży odpływ wykwalifikowanych osób z segmentu ropy i gazu, w ramach którego pewne kompetencje są podobne lub nawet identyczne. Niestety wszystko wskazuje na to, że po wieloletniej stagnacji na rynku ropy i gazu, od rozpoczęcia konfliktu wojennego na Ukrainie, mamy bardzo silne wzrosty cen obu paliw i nic nie zapowiada szybkiego zatrzymania tego trendu. Przy baryłce ropy, której cena oscyluje wokół 90 dolarów, i równocześnie rosnącej cenie gazu naturalnego, wszystkie projekty na morzu stają się nagle bardzo zyskowne. Następująca aktualnie mobilizacja statków i jednostek wiertniczych, czy rosnące stawki czarterów przewoźników ropy i gazu wskazują na rosnącą dynamikę tego rynku, co ogranicza, a nawet wyklucza zainteresowanie kadry z tego segmentu pracą na farmach wiatrowych. To oznacza, że rynek morskiej energetyki wiatrowej musi znaleźć receptę na rozwiązanie problemu związanego z brakiem kadr. Z dużym prawdopodobieństwem można się spodziewać napływu nowych pracowników, którzy przejdą szybką ścieżkę edukacji w dużych organizacjach i zostaną rzuceni na głęboką wodę. Podobna sytuacja miała miejsce w latach 2004-2007 w segmencie ropy i gazu, kiedy gwałtowne wzrosty cen ropy spowodowały lawinę nowych inwestycji i brak rąk do pracy.

W przypadku Polski możemy śmiało mówić o niedoborach kadrowych i braku doświadczonych osób wcześniej realizujących projekty morskich farm wiatrowych z poziomu zarządzania projektem ze strony inwestora kapitałowego. Owszem mamy Polaków za granicą pracujących albo dla armatorów statków, albo dla dostawców urządzeń czy firm serwisowych, ale specyfika tej pracy i doświadczenie jest zgoła inne od tego, które musi mieć kadra zarządzająca, gdzie kluczowe kompetencje leżą w obszarach finansowania, zakupowym, prawnym, kontraktowym czy wybitnie technicznym. Powstają co prawda już rodzime szkoły, pojawiają się szkolenia czy kursy, ale większość kadry szkolącej to teoretycy, bez praktyki na morzu czy na projektach offshore. A nawet gdyby było inaczej, choć niestety nie jest, to edukacja osób w szkole jest dopiero początkiem ich długiej drogi i przepustką do wejścia na morze. Przed nimi jeszcze wiele lat żmudnej pracy, zanim zdobędą wystarczający bagaż doświadczeń, żeby realizować czy zarządzać projektami na morzu. Światełkiem w tunelu jest oczywiście fakt, że większość tych inwestycje jest realizowana w kooperacji z doświadczonymi, dużymi partnerami zagranicznymi. Ich zaplecze osobowe będzie znacznie większe i zapewne umożliwi realizację projektów, ale i te podmioty będą wkrótce borykać się z problemami kadrowymi. Najbardziej racjonalnym rozwiązaniem na dzisiaj, wydaje się być budowa organizacji na bazie doświadczeń tych partnerów, korzystając z ich wiedzy i umiejętności. Błędem byłoby niewykorzystanie takiej okazji, o ile klauzule kontraktowe na to pozwolą i partner zagraniczny nie zasłoni się posiadaniem takich zapisów.

W szczytowym momencie pracy na projekcie tylko na morzu równocześnie pracuje nawet do 10 statków i liczba personelu dochodząca nawet do 1000 osób. Prace instalacyjne czy serwisowe trwają bez przerwy, dzień i noc, również w dni świąteczne. Biuro na lądzie musi bezzwłocznie reagować na wszystkie przypadki, które mogą wywołać przestój na projekcie czy jego spowolnienie.

Koszty zarządzania projektem kształtują się od 1%-3% wartości całego projektu. W skali wszystkich znaczących wydatków to najmniejsza suma, ale jednocześnie kilkadziesiąt milionów dolarów czy euro robi wrażenie. Stawki doświadczonych osób z branży dochodzą do 2-3 tysięcy dolarów dziennie i nie są to przypadki odosobnione. Polska jako kraj będzie również musiała się z tym zderzyć. Kwoty wydają się abstrakcyjne w porównaniu do zarobków kadry managerskiej pracującej choćby w spółkach skarbu państwa, ale nie dziwią w segmencie offshore. To jest atut i zarazem magnes przyciągający ludzi do pracy na morzu. Dzisiaj już nie wystarczy zachęta w postaci możliwości pracy za granicą czy swobodny dostęp do paszportów i biletów lotniczych, zachęcających młodych adeptów do podróży po świecie, tak jak to miało miejsce jeszcze stosunkowo niedawno. Konieczna jest relatywnie wysoka gratyfikacja oraz praca dająca poczucie robienia rzeczy innowacyjnych, nietuzinkowych. Wydaje się, że w taką definicję wpisuje się dzisiaj morska energetyka wiatrowa, która nie tylko bardzo dynamicznie rozwija się na całym świecie, ale także oferuje możliwości rozwoju osobistego oraz brania udziału w czymś wyjątkowym a może nawet modnym, w czymś, w czym trzeba po prostu być.

*Autor tekstu jest prezesem firmy **Enmaro** (www.enmaro.com) oraz **ACC** (www.asia-poland.com), międzynarodowym ekspertem w obszarze projektów offshore, w tym ropy i gazu.*

*Firma **ENMARO** (www.enmaro.com), jest polską firmą konsultingową z siedzibą w Gdyni zajmującą się reprezentacją klienta oraz doradztwem na każdym etapie rozwoju projektu inwestycyjnego. Stale umacniając swoją pozycję na rynku polskim, rozszerza portfolio klientów i obszary swojej działalności, buduje dalsze kompetencje w obszarze morskiej energetyki odnawialnej (offshore wind), w tym produkcji, magazynowania i transportu zielonego wodoru, uzyskiwanego z energii wiatrowej na morzu.*

Fot. Maciej Olczak

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

18 listopada 2022 - *Warszawa – Polska* ***Numer 20(32)/2022***

Przeciw panice klimatycznej

Charles Jaigu komentuje w swoim artykule dla „Le Figaro" książkę klimatologa Stevena Koonina. O wydanej w ubiegłym roku publikacji „Unsettled: What Climate Science Tells Us, What It Doesn't, and Why It Matters" pisze, że jest „to powiew świeżości w gorączkowej debacie na temat globalnego ocieplenia. Nie zaprzecza, relatywizuje. A to już dużo".

Amerykański fizyk Steven Koonin został poproszony o przeanalizowanie raportów IPCC. Po zapoznaniu się z nimi uznał, że zawarte w nich analizy są „w większości dokładne". Stwierdził jednak, że problem leży gdzie indziej: „Kiedy każę moim uczniom przeczytać raport i porównać go z oficjalnymi streszczeniami, a następnie z nagłówkami w mediach, oczy im się otwierają" – powiedział. W swojej książce udowadnia, że apokaliptyczny ton, jaki obecnie panuje w odniesieniu do kryzysu klimatycznego, jest mocno przesadzony.

Debaty wokół klimatu

W sprawie klimatu głos zabierają trzy różne grupy: sceptycy, alarmiści i realiści klimatyczni, zauważa „Le Figaro". Pierwsi z nich zaprzeczają ociepleniu, ewentualnie twierdzą, że działalność człowieka nie ma z nim nic wspólnego. Drudzy mają równie ostre poglądy na to, co się dzieje z klimatem, ale przeciwne – według nich to ludzkość jest jedyną przyczyną obecnego ocieplenia i natychmiast należy zmienić swój sposób życia. Trzecia grupa to klimatyczni realiści. Ci nie zaprzeczają ociepleniu, nie twierdzą, że człowiek nie miał na to żadnego wpływu w ciągu ostatnich czterdziestu lat, ale przedstawiają zakres tego wpływu w odpowiedniej perspektywie.

Jak widzą sprawy klimatu realiści?

Realiści twierdzą przede wszystkim, że nie jest łatwo ustalić, jaki ma wpływ człowiek na ocieplenie. Na zmiany klimatyczne oddziałuje bowiem wiele innych czynników naturalnych. Obecne ocieplenie umieszczają oni w perspektywie długoterminowej. Jak zauważa Olivier Postel-Vinay („Sapiens et le climat"), człowiek w swojej historii istnienia doświadczył wielu zmian klimatycznych. Do każdej z nich zawsze się dostosowywał. Co więcej, związane z tym wyzwania przyczyniły się do powstania istotnych innowacji technicznych. Realiści uważają też, że nawet jeśli uznamy, że koncentracja emisji gazów cieplarnianych jest kluczowym czynnikiem obecnego ocieplenia, co nie jest wcale przesądzone, to całkowite zaprzestanie wszelkiej działalności emisyjnej na naszej planecie wyeliminowałoby jedynie przepływ, a nie zasoby już obecne w atmosferze.

Koonin twierdzi, że zmniejszenie nawet o połowę globalnej emisji CO_2 nic nie da. W pierwszej połowie 2020 r., kiedy pandemia koronawirusa spowodowała, że transport i przemysł na większości planety stały w miejscu, emisja ta spadła zaledwie o 8,8 proc.

Klimatolog uważa, że „Żadna globalna rewolucja energetyczna nie zmieni trajektorii w tak krótkim czasie". Na dodatek tego typu rewolucję mogą przeprowadzić wyłącznie kraje wysoko rozwinięte – czyli jeden miliard na osiem miliardów mieszkańców naszej planety. Reszty nie stać na rezygnację z łatwych do wykorzystania węglowodorów. „Wprowadzanie zmian energetycznych na pełną skalę powinno być powolnym procesem przejściowym, przypominającym bardziej ortodoncję niż wyrywanie zębów" – pisze Koonin. Proces ten nazywa „elegancką dekarbonizacją".

„Le Figaro" zadaje filozoficzne pytanie: „dlaczego mamy poświęcać się dla roku 2100, o którym nic nie wiemy, i dlaczego nie zaufać ludzkiej zdolności do adaptacji, która ma tę zaletę, że pozwala na tworzenie lokalnych, dostosowanych do potrzeb odpowiedzi na rzeczywiste, a nie domniemane wyzwania? Przeżywamy kryzys oczekiwania i nie wiemy, czy to oczekiwanie jest trafne. Cmentarz fałszywych przepowiedni jest całkiem spory".

Nie tylko ocieplenie klimatu

Koonin ostrzega, że obsesyjny nakaz redukcji emisji dwutlenku węgla wiąże się z ryzykiem. Przypomina, że priorytetami na dziś jest rozwiązanie wielu innych, czysto ekologicznych, sytuacji kryzysowych. Konieczna jest natychmiastowa walka z zanieczyszczeniem środowiska, niepohamowanym konsumpcjonizmem, z cywilizacją plastiku i nadmierną turystyką. Trzeba wspierać mniej intensywne i bardziej lokalne rolnictwo, chronić bioróżnorodność, zasoby wodne, krajobrazy itd.

Koonin nawołuje, by nie mylić pogody z klimatem. Nie chodzi bowiem o to, by na siłę szukać dowodów na niszczącą działalność człowieka w najbardziej katastrofalnych zjawiskach pogodowych. W rozdziale poświęconym gorącym latom i tornadom przekonuje, że nie mają one związku z globalnym ociepleniem.

Ta książka jest ważna, szczególnie we Francji – twierdzi „Le Figaro". Tu bowiem debata na temat ekologii przybrała histeryczny obrót. Przyczynił się do tego Emmanuel Macron, chcąc wygrać wyścig o dekarbonizację. „Dlaczego nie, jeśli ma to na celu ponowną masową atomizację Francji. Ale gra nie jest jeszcze wygrana, a Emmanuel Macron jest winny, że nie narzucił jej na początku swojej pierwszej kadencji" – pisze francuska gazeta. Trzeba przy tym pamiętać, że w ciągu ostatnich piętnastu lat Francja wydała 150 mld euro na turbiny wiatrowe i panele słoneczne, co wcale nie posłużyło większej dekarbonizacji kraju.

Poglądy Koonina jednak nie podobają się wielu i zostały celowo zignorowane przez „prawomyślne" gazety. „New York Times" i „Washington Post" nie skomentowały jego książki ani nie umieściły jej na liście swoich bestsellerów. A przecież rozeszła się tam w nakładzie ponad 200 tys. egzemplarzy. Czy osiągnie taki sam sukces we francuskich księgarniach? Nie wiadomo. Z pewnością jednak Koonin i we Francji zostanie zignorowany przez mainstreamowe media.

Steven E. Koonin *– amerykański fizyk teoretyczny specjalizujący się w modelowaniu złożonych systemów fizycznych, który postanowił wziąć udział w programach symulacji klimatu. Pracując dla koncernu BP, szukał alternatyw dla ropy naftowej. Współpracował też z rządem USA, pełniąc w administracji Obamy funkcję podsekretarza ds. nauki. W tym przypadku także zajmował się kwestiami klimatu. Obecnie jest profesorem na Uniwersytecie Nowojorskim (NYU) i w Caltech (California Institute of Technology), gdzie wykłada klimatologię. Jego książka „Unsettled: What Climate Science Tells Us, What It Doesn't, and Why It Matters" ukazała się w kwietniu 2021 r.*

Źródło: Le Figaro

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

18 listopada 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 20(32)/2022*

Czy podwyżki stóp procentowych zadziałały?

W Polsce trwała, trwa i pewnie długo będzie trwać dyskusja na temat skuteczności reakcji Narodowego Banku Polskiego na rosnącą inflację. Odnieść można wrażenie, że przeważa pogląd, że reakcja ta było niedostateczna. Skoro bowiem ceny wciąż rosną, to widać można było zrobić więcej. Czy aby na pewno?

Zacznijmy od tego, że stopa procentowa banku centralnego – a to jego główne narzędzie do walki z inflacją – może zdziałać wiele, ale nie wszystko. Innymi słowy, podwyżka stopy procentowej przyniesie oczekiwane rezultaty w sytuacji, w której czynnikiem inflacjogennym jest wzrost popytu napędzanego kredytem. Dlaczego? Dlatego, że głównym celem podwyżki stóp procentowych nie jest pozbawianie ludzi części dochodu poprzez konieczność zapłaty wyższych rat od kredytów hipotecznych. To swoją drogą polski ewenement, że większość kredytów mieszkaniowych jest oprocentowanych na zmienną stopę, a zatem wysokości raty jest mocno wrażliwa na poziom stóp nominalnych. Jeśli już stopy mają prowadzić do „zubożenia" gospodarstw domowych to odbywa się to poprzez kanał majątkowy. Wyższe nominalnie stopy przekładają się na odpływ kapitału od udziałowych do dłużnych papierów wartościowych. W efekcie spadają ceny akcji, co prowadzi do spadku wartości majątku gospodarstw domowych, które w tej formie ulokowały swoje oszczędności. W Polsce to jednak nie ma racji bytu ponieważ przeważnie nie inwestujemy swoich nadwyżek finansowych na giełdzie.

Wracając zatem do tego jak działają stopy, po pierwsze i przede wszystkim, mają one na celu sterowanie popytem na kredyt. Im niższa cena pieniądza, tym większa skłonność do pożyczania i finansowania swoich potrzeb konsumpcyjnych bądź inwestycyjnych w ten właśnie sposób. Spadek konsumpcji, wywołany zmniejszeniem akcji kredytowej, przekładać się powinien na powstrzymanie lub przynajmniej wyhamowanie wzrostu cen.

Można tę samą kwestię ująć nieco inaczej, odwołując się do agregatów monetarnych. Kluczową jest tu miara M1, w jej skład wchodzą pieniądz w obiegu oraz depozyty na żądanie. To pieniądz najbardziej płynny, umożliwiający bieżące realizowanie konsumpcji. Według danych na wrzesień 2022 roku wartość pieniądza M1 wynosiła 1,58 bln zł, wobec niemal 1,7 bln zł w październiku 2021 roku, kiedy to rozpoczynał się cykl podwyżek stopy referencyjnej NBP. Oznacza to zmniejszenie podaży pieniądza najbardziej płynnego, tego z przeznaczeniem na bieżącą konsumpcję o ponad 100 mld zł. Co do kredytów sytuacja ma się następująco. Zgodnie z danymi Biura Informacji Kredytowej w ujęciu rocznym (porównywane są dane z września tego roku i września roku minionego) sprzedaż kredytów ratalnych spadła o niemal 5 proc., kredytów gotówkowych o ponad 8 proc., zaś kredytów mieszkaniowych, uwaga, o 71,3 proc. Mamy zatem do czynienia z wyraźnym wyhamowaniem akcji kredytowej. A jak wiadomo kredyt w jednym banku staje się depozytem (niejednokrotnie bieżącym) w innym, co wyjaśnia nam także zmiany w agregacie monetarnym M1. Do tego dodać trzeba, że wartość depozytów terminowych zwiększyła się w okresie od października 2021 do września 2022 roku z 233 mld zł do 468 mld zł.

Wszystko to pokazuje, że efekt podwyżki stóp procentowych, jeśli chodzi o ważne agregaty monetarne, jest jak najbardziej zauważalny. To, że spadek akcji kredytowej oraz wzrost oszczędności długookresowych nie przełożyły się na zmniejszenie inflacji wskazuje, że jej przyczyny w dużej mierze leżą poza oddziaływaniem decydentów odpowiadających na politykę pieniężną. Także spadek sprzedaży detalicznej w ujęciu miesięcznym we wrześniu o 2,8 proc. pokazuje, że polityka monetarna działa. Jej skuteczność widoczna jest z pewnym opóźnieniem, najczęściej o kilka kwartałów, niemniej widzimy, że coś się dzieje. Zakłócić jej efektywność może np. szum informacyjny, taki jak opowiadanie, że z w Polsce z inflacją nikt nie walczy. Dane pokazują jednak, że jest inaczej, trzeba tylko do nich dotrzeć. Można skomentować, że jednak skoro inflacja nie hamuje, to wysiłki decydentów z banku centralnego nie są wystarczające. Tu wrócić należy do początku tekstu. Polityka pieniężna i stopa procentowa mogą zdziałać wiele ale nie mogą wszystkiego. W sytuacji, w której inflacja ma swoje źródła poza Polską, bardzo trudno narzędziami wewnętrznymi się jej pozbyć. To może potrwać dłużej i być bardziej skomplikowane. Niemniej odpowiednie działania już zostały podjęte.

Kamil Goral

Autor jest analitykiem makroekonomicznym i publicystą gospodarczym. Ukończył m.in. studia doktoranckie w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie, gdzie był stypendystą Rektora tej uczelni. Napisał wiele artykułów prasowych i naukowych poświęconych tematyce ekonomicznej i finansowej. Doświadczenie zawodowe zdobywał zarówno w sektorze publicznym, jak i prywatnym. Pracował także na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego, gdzie prowadził zajęcia z podstaw ekonomii i zarządzania.

Ochrona klimatu tak, ale z zapewnieniem bezpieczeństwa energetycznego

Na odbywającym się w egipskim Szarm el-Szejk COP27, dorocznym szczycie klimatycznym w poniedziałek 7 listopada wystąpił Prezydent Andrzej Duda, który uczestniczył także w dyskusji okrągłego stołu „Just transition".

Wskazał, że Polska konsekwentnie uczestniczy w debacie na temat zmian klimatycznych i ich następstw. W obecnym czasie, gdy trwa rosyjska agresja w Ukrainie kwestie klimatyczne i środowiskowe, jeszcze silniej należy powiązać z bezpieczeństwem energetycznym, zapewnieniem ciągłości dostaw i kwestiami żywnościowymi, które na kontynencie afrykańskim mają szczególną wagę.

Fakt uczestnictwa w blisko 200 państw – stron Ramowej Konwencji Narodów Zjednoczonych dowodzi globalnej wagi problemu, który wymaga także decyzji natury politycznej w wymiarze międzynarodowym. Zdaniem Prezydenta bezpieczeństwo energetyczne pozostaje w ścisłej korelacji z dbałością o środowisko, zwłaszcza w aspekcie efektywności energetycznej i racjonalnego, oszczędnego jej zużycia. Nasz dorobek jako państwa, także w dziedzinie myśli klimatycznej na poziomie Konwencji dotyczy zgłoszonej w roku 2018 podczas COP24 w Katowicach przez Andrzeja Dudę koncepcji sprawiedliwej transformacji.

Co się tyczy oczekiwań ze strony państw dotkniętych w sposób szczególnie dotkliwy skutek zmian klimatycznych, warto przypomnieć, że powołanie funduszu solidarnościowego miało miejsce w roku 2013 w Warszawie. Wydatkowanie tych środków to nie rodzaj kontrybucji, ale wspólna sprawa. Przykład Polski, gdzie lokalne społeczności aktywnie włączają się w działania na rzecz poprawy stanu środowiska dowodzi, że możliwe jest powiązanie wzrostu gospodarczego z redukowaniem emisyjności.

fot. Timon - stock.adobe.com

Obecny szczyt zbiega się z szeregiem zagrożeń, poczynając od bezpieczeństwa globalnego, rosnącej inflacji, kryzysu energetycznego jako następstwa rosyjskiej agresji, wreszcie niedoborów żywności, co zwłaszcza w Afryce ma wymiar strukturalny, a w wielu krajach jest źródłem klęski humanitarnej. Szacuje się, że 20 milionów ludzi boryka się z brakiem bezpieczeństwa żywnościowego we wschodniej Afryce z powodu suszy.

Prezydent Andrzej Duda podczas panelu wskazał na to, jak istotny jest dostęp, zwłaszcza w państwach najuboższych, do zasobów słodkiej wody. Kraje rozwinięte mają w tej sprawie wiele do nadrobienia, a zwłaszcza w zakresie struktury produkcji i spożycia – poczynając od przemysłu tekstylnego, a na produkcji i spożyciu mięsa kończąc.

W opinii Michała Kurtyki aktualnie eksperta międzynarodowego i doradcy prezydenta COP27, który przewodniczył COP24 w Katowicach, obecny szczyt odbywający się w warunkach chaosu będzie bardzo trudny. Z jednej strony oczekiwania klimatyczne rosną (zdaniem wielu) ponad miarę i realne możliwości, a z drugiej kwestie środowiskowe pozostają w zależności od uzgodnień natury politycznej. Zapewne z tego powodu prezydentem COP27 jest nie minister środowiska, lecz szef egipskiej dyplomacji.

Oczekiwania gospodarzy, czy szerzej rzecz biorąc regionu (przyszłoroczny szczyt odbędzie się w Dubaju), w obecnej sytuacji nie wydają się możliwe do zaspokojenia, zwłaszcza w kontekście braku realnych szans na reformę aktualnie obowiązującej konwencji klimatycznej. Bez wątpienia Egipt będzie się upominać o realizację dotychczasowych zobowiązań państw rozwiniętych wobec biedniejszych krajów południa Afryki. Rozwiązania wymaga kwestia corocznego przekazywania na ich rzecz 100 mld dolarów z przeznaczeniem na inwestycje klimatyczne. W obecnych realiach nie wydaje się to realne. Do sprawy wrócimy, gdy znane będą końcowe ustalenia COP27.

Janusz Grobicki

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

18 listopada 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 20(32)/2022*

Zielona ekologia czy malowana na zielono?

Obecnie wydaje się, że działania rządów i obywateli Zachodu są podporządkowane rozwiązaniom ekologicznym, co w samo w sobie jest kierunkiem pożądanym, zwłaszcza gdy uświadomimy sobie, jak bardzo człowiek zdewastował wcześniej środowisko naturalne. Jeżeli obliczenia wykonane przez Marka P. Millsa, senior fellow Manhattan Institute oraz faculty fellow w McCormick School of Engineering na Northwestern University są prawidłowe, to nasze myślenie o ekologicznych technologiach jest w dużej mierze życzeniowe.

Żaden system energetyczny nie jest w rzeczywistości „odnawialny", ponieważ wszystkie maszyny wymagają ciągłego wydobywania i przetwarzania milionów ton surowców oraz utylizacji sprzętu, który nieuchronnie się zużywa. Budowa turbin wiatrowych i paneli słonecznych do wytwarzania energii elektrycznej, a także akumulatorów do napędzania pojazdów elektrycznych, wymaga średnio ponad 10 razy więcej materiałów w porównaniu z budową maszyn wykorzystujących węglowodory do dostarczania tej samej ilości energii społeczeństwu.

Nic nie jest za darmo, pojedyncza bateria samochodu elektrycznego ważąca pół tony wymaga wydobycia i przetworzenia około 250 ton materiałów. Uśredniając czas życia akumulatora, każdy kilometr jazdy samochodem elektrycznym „zużywa" 2,5 kg Ziemi. Korzystanie z silnika spalinowego zużywa około 0,07 kg płynnego paliwa na kilometr. Przy czym wszyscy znają wygląd szybów naftowych, a jakieś afrykańskie czy peruwiańskie kopalnie mało kogo wzruszają.

Niestabilne i epizodyczne źródła energii, takie jak wiatr i słońce nie są w stanie zasilać sieci przez cały czas, to powoduje, że do zapobieżenia blackoutom konieczne jest zwiększenie koniecznych materiałów. Musimy mieć świadomość, że zużywamy olbrzymie zasoby, tworząc nowe maszyny, które wyprodukują nowe urządzenia, o zwiększonej materiało i kosztochłonności, w celu wytworzenia ekoenergii. Później kolejne urządzenia, starając się zmagazynować energię (co ciągle jest w powijakach), która będzie skonsumowana, gdy słońce czy wiatr nie będą dostępne. Aby zobrazować: system magazynowania na skalę użytkową, wystarczający dla farmy wiatrowej o mocy 100 MW, wymagałby użycia co najmniej 10 000 ton baterii klasy Tesla – czyli odpowiednik 20 tysięcy samochodów.

Dobrym przykładem na to, jak sytuacja wygląda realnie, jest neodym. Do wyprodukowania jednej, ekologicznej turbiny wiatrowej o mocy 5 MW potrzeba 800 kg neodymu, w przypadku mniejszej 2 MW potrzeba go ok. 300 kg. Z powodu dynamicznego wzrostu zapotrzebowania na neodym, w sytuacji, gdy Chiny odpowiadają za niemal 90 proc. światowej produkcji, zawiązała się koalicja państw, która ma za zadanie w jakimś stopniu uniezależnić świat od Chin. Niestety produkcja neodymu jest wysoce toksyczna. Na przykład pierwszy krok w jego produkcji, to potraktowanie monacytu (rudy) przez wiele godzin kwasem siarkowym w temperaturze do 150 stopni. Nawet nie to jest najgorsze, bo monacyt zawiera promieniotwórczy tor oraz uran.

Skażenia środowiska powodują, że uczestnicy wspomnianej koalicji są bardzo zachowawczy w próbach zwiększenia ilości pozyskiwanego pierwiastka, wszyscy obawiają się, że „martwa strefa", jaka powstała w okolicach jeziora Baotou w północnych Chinach może powstać w krajach bardzo troszczących się o środowisko naturalne. Efektem jest rosnące uzależnienie świata od Chin i gigantyczna degradacja terenu, skoncentrowana w jednym kraju, po to, aby społeczeństwa Zachodu mogłyby być dumne ze swej ekologicznej postawy.

Według szacunków Banku Światowego w ciągu najbliższych 30 lat nastąpi wzrost zapotrzebowania na neodym od 10 do 40 razy, odmiennie naukowcy z Harvardu szacują zwiększenie potrzeb do roku 2050 na 26-krotne. Mimo że Chiny posiadają największe na świecie zasoby rudy neodymowej, takiego wzrostu nie będą w stanie zapewnić, stąd możemy być przekonani, że zatrucie środowiska w trudno wyobrażalnej skali pojawi się, tam, gdzie występuje monacyt neodymowy, czyli np. Boliwii. Ruda znajduje się również w Kanadzie, USA, Australii, czy na Madagaskarze i możemy być przekonani, o tym, że pięknoduchy spowodują zniszczenia raczej w krajach „gorzej cywilizowanych". Naturalnym efektem są problemy z oddychaniem, zmiany skórne i uszkodzenia wzroku, jako efekt kontaktu i występują na masową skalę w Mongolii Wewnętrznej.

Wszelkie analizy potrzeb surowcowych zielonej gospodarki nie uwzględniają kosztów ekonomicznych, społecznych i środowiskowych rafinacji czystych pierwiastków. W przypadku wspomnianego powyżej neodymu, dla pozyskania jednej tony pierwiastka potrzeba wydobycia i przerobienia ponad tysiąca ton rudy, w przypadku kobaltu wydobywanego w Afryce, potrzeba ponad 1500 ton rudy na jedną tonę czystego minerału. Kolejnym niewidzialnym czynnikiem mającym znaczenie przy wydobyciu jest tzw. nakład, czyli skały, które należy wydobyć i przemieścić, aby uzyskać dostęp do rudy, w Chinach, wydobycie dla pozyskania jednej tony surowca trzeba wydobyć 7 tysięcy ton skał.

Wbrew treści artykułów sponsorowanych przez środowiska tradycyjnej gospodarki, nie występuje ryzyko braku dostępu do surowców z powodu ich wyczerpania, realnym problemem jest dewastacja środowiska w miejscach innych niż konsumpcja oraz rosnące w szalonym tempie ceny.

Badania zlecone przez rząd Holandii dały zaskakujący wynik, oczekiwany, długoterminowy wzrost zapotrzebowania jednego kraju jest w stanie wyczerpać większość światowej produkcji metali ziem rzadkich, a wykładniczy wzrost zdolności produkcyjnej energii odnawialnej „nie jest możliwy przy obecnych technologiach i rocznej produkcji metalu" [i].

Tak, jak poprzednio skupiałem się na jednym pierwiastku, neodymie, teraz przyjrzę się bliżej innemu – litowi. Typowy akumulator, ważący 500 kg zawiera 13 kg czystego litu. Zawartość litu w solance litowej wynosi ok. 0,1 proc., co oznacza, że do jednego akumulatora trzeba 13 ton tejże solanki. Do uzyskania tej solanki należy użyć 100 ton skał. Wykonywane jest to oczywiście maszynami, w większości napędzanymi energią nieekologiczną.

Środowiskowe/energetyczne koszty wydobycia w przypadku wydobycia litu są około 20 tysięcy razy większe niż w przypadku nieekologicznej ropy naftowej. Dobrym przykładem może być typowy samochód z silnikiem wysokoprężnym klasy kompakt, chociaż waży on 10 tys. razy więcej niż smartfon, do jego wyprodukowania zużywa się jedynie 400 razy więcej energii[ii]. Podstawową przyczyną, takiego stanu rzeczy są uwarunkowania fizykochemiczne ekstrakcji rudy do poziomu oczekiwanego surowca.

Średnio wytworzenie 1 Wh pojemności magazynowej akumulatora wiąże się ze skumulowanym zapotrzebowaniem na energię w wysokości 328 Wh i powoduje emisję gazów cieplarnianych (GHG) na poziomie 110 gCO2eq[iii].

Produkcja litu, przy założeniu konsekwentnego przechodzenia z silników spalinowych na elektryczne, ma wg ekspertów w ciągu najbliższych 20 lat wzrosnąć 20-krotnie. Obecnie największym producentem litu jest Australia, kolejne miejsca okupują: Chile, Argentyna i Chiny.

Dzisiaj kraje bogate są dumne z tego, że stały się gospodarkami usług, lecz zakup wykonany jednym kliknięciem w smartfonie nie powoduje, że koszty wytwarzania znikły. Samochód sprzed wieku budowany był z kilku materiałów, dzisiaj z kilkudziesięciu i jego ekologiczność wymusza stosowanie energochłonnych technologii, rosną powierzchnie magazynów przeznaczonych dla produktów wytwarzanych na drugim końcu świata, rośnie transport.

Ciąg dalszy na stronie 9

Ciąg dalszy ze strony 8

Postawa polityków przypomina infantylne podejście do zwierząt, które same w sobie mają być dobre, wymagające karmienia drapieżników produktami wegetariańskimi. Konsekwentnie, gospodarka bazująca na usługach ma być bardziej przyjazna środowisku, w praktyce, następuje proces odwrotny. Co więcej, przemieszczenie wydobycia i produkcji z krajów bogatych, uruchamia procesy, których skutki możemy obserwować, w postaci utrudnień w łańcuchach dostaw, czy to z powodów medycznych (Covid) czy politycznych (konflikt Chin i USA). W sytuacji rosnącej zależności od dostaw z krajów o niepewnej sytuacji politycznej, bezpieczeństwo ekonomiczne państw Zachodu z każdym krokiem wdrażania zielonej energii spada, a koszty tych rozwiązań rosną lawinowo.

Jak wiele negatywnych reperkusji dla światowej gospodarki może mieć niepewność polityczna, pokazuje obecnie wojna na Ukrainie, przyspieszenie wdrażania zielonej energii wzmocniło nierównowagę w systemach energetycznych, doprowadzając do bezprecedensowego wzrostu cen energii w Europie.

Dla wielu zwolenników zielonej energii rozwiązanie wszystkich wyzwań związanych z recyklingiem zużytej zielonej energii znajduje się w dobrze „oklepanym" wezwaniu do zwracania większej uwagi na „ograniczanie, ponowne wykorzystanie i recykling". Niestety nic nie jest tutaj tak proste, jak się pozornie może wydawać.

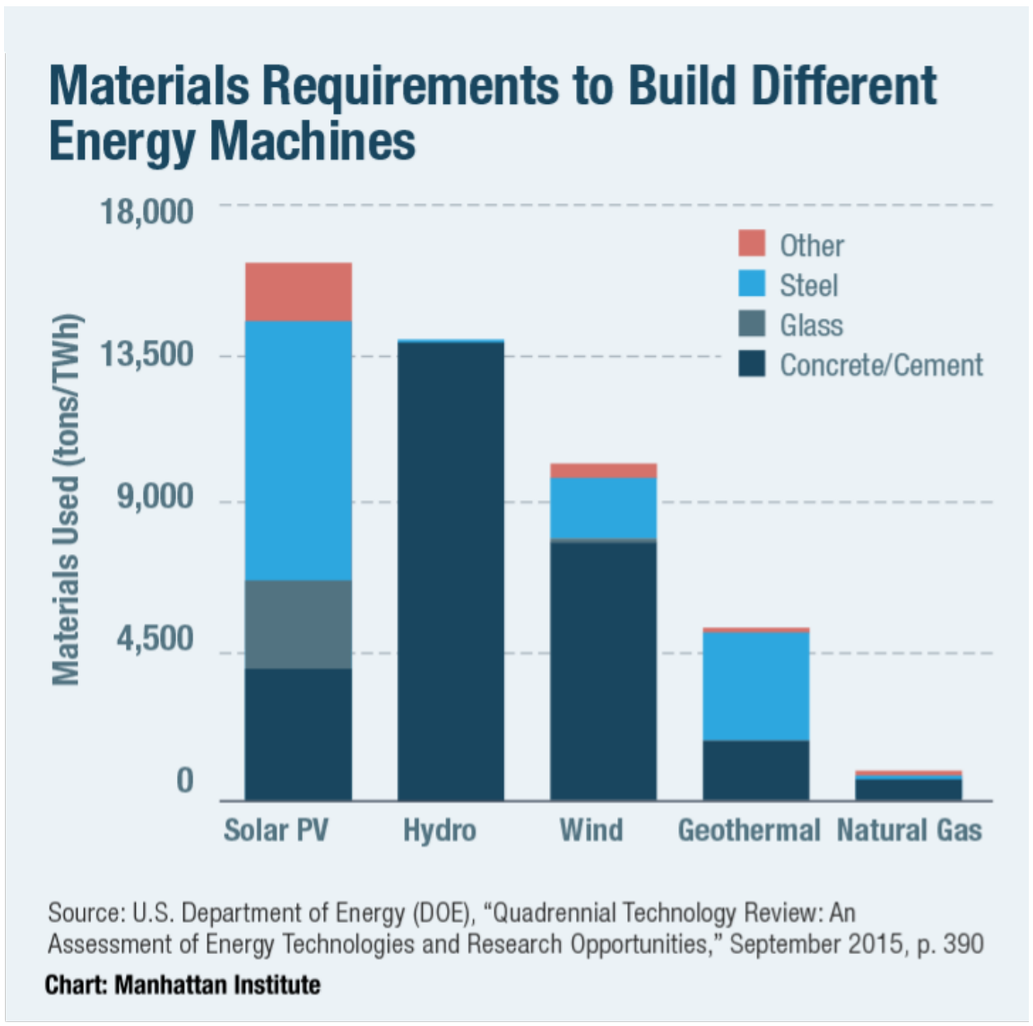

Wytworzenie ekologicznej energii wymaga olbrzymiego zaangażowania materiałowego, co w sposób jednoznaczny pokazuje powyższa grafika

Według szacunków Międzynarodowej Agencji Energii Odnawialnej (IRENA) ilość odpadów z akumulatorów do 2030 roku przekroczy 2 miliony ton rocznie. Jeśli aktualne prognozy Międzynarodowej Agencji Energetycznej (IEA) zostaną spełnione, to do 2050 r. będzie ponad 3 miliony ton rocznie, nienadających się do recyklingu łopat turbin z tworzyw sztucznych.

Dla zwolenników zielonej energii wyidealizowana wizja recyklingu obejmuje wdrożenie „gospodarki o obiegu zamkniętym", jako priorytetu numer jeden w radzeniu sobie z materialnymi konsekwencjami czystych technologii. Jednak idea zielonej gospodarki o obiegu zamkniętym opartej na celu 100 proc. recyklingu to mrzonka. W świecie realnym Ghana stała się euro śmietnikiem elektronicznych śmieci.

Według danych Commonwealth Scientific and Industrial Research Organisation (CSIRO) na Zachodzie recyklingowi podlega mniej niż 5 proc. akumulatorów. Według LindyGaines z Argonne National Laboratory przyczyny obejmują ograniczenia techniczne, bariery ekonomiczne, kwestie logistyczne i luki regulacyjne. Ponieważ przemysł akumulatorów litowo-jonowych nie ma jasnej ścieżki ekonomicznego recyklingu, badacze i producenci akumulatorów tradycyjnie nie skupiali się na poprawie możliwości recyklingu. Zamiast tego pracowali nad obniżeniem kosztów i zwiększeniem żywotności baterii i pojemności. A ponieważ naukowcy poczynili jedynie niewielkie postępy w zakresie poprawy zdolności do recyklingu, stosunkowo niewiele akumulatorów litowo-jonowych trafia do recyklingu.

W styczniu 2019 r. sekretarz Departamentu Energii USA Rick Perry ogłosił utworzenie pierwszego centrum badawczo-rozwojowego ds. recyklingu akumulatorów litowo-jonowych ReCell Center. Według Jeffreya S. Spangenbergera dyrektora programu, kluczowe cele ReCell obejmują uczynienie recyklingu akumulatorów litowo-jonowych konkurencyjnym i opłacalnym oraz wykorzystanie recyklingu w celu zmniejszenia zależności USA od zagranicznych źródeł kobaltu i innych materiałów akumulatorowych.

Podobnie naukowcy z Wielkiej Brytanii utworzyli duże konsorcjum, którego celem jest usprawnienie recyklingu akumulatorów litowo-jonowych, w szczególności z pojazdów elektrycznych. Kierowany przez Uniwersytet w Birmingham projekt Reuse and Recycling of Lithium Ion Batteries (ReLiB) skupia około 50 naukowców i inżynierów z ośmiu instytucji akademickich i obejmuje 14 partnerów przemysłowych.

Oprócz potencjalnych korzyści ekonomicznych recykling może zmniejszyć ilość materiałów trafiających na składowiska. Kobalt, nikiel, mangan i inne metale znajdujące się w bateriach, mogą łatwo wyciekać z obudowy zakopanych baterii i zanieczyszczać glebę i wody gruntowe, zagrażając ekosystemom i zdrowiu ludzi. To samo dotyczy roztworu soli fluorku litu (powszechny jest LiPF6) w rozpuszczalnikach organicznych, które są używane w elektrolicie akumulatora.

Baterie mogą mieć negatywny wpływ na środowisko nie tylko pod koniec ich życia, ale także na długo przed ich wyprodukowaniem. Jak podkreśla Argonne's Gaines, większy recykling oznacza mniej wydobycia materiału pierwotnego i mniej związanych z tym szkód dla środowiska. Na przykład wydobycie, niektórych metali akumulatorowych wymaga przetwarzania rudy siarczkowej metalu, która jest energochłonna i emituje tlenki siarki, które mogą prowadzić do kwaśnych deszczy.

Recykling komplikuje sama budowa baterii. Od wczesnych lat 90., kiedy firma Sony wprowadziła na rynek akumulatory litowo-jonowe, naukowcy wielokrotnie dostosowywali skład katody, aby obniżyć koszty i zwiększyć pojemność ładowania, żywotność, czas ładowania i inne parametry wydajności.

Niektóre akumulatory litowo-jonowe wykorzystują katody wykonane z tlenku litowo-kobaltowego (LCO). Inne stosują tlenek litowo-niklowo-kobaltowo-kobaltowy (NMC), tlenek litowo-niklowo-kobaltowo-glinowy, fosforan litowo-żelazowy lub inne materiały. A proporcje komponentów w obrębie jednego typu katody — na przykład NMC — mogą się znacznie różnić między producentami. W rezultacie akumulatory litowo-jonowe zawierają „szeroką różnorodność stale ewoluujących materiałów, co sprawia, że recykling jest trudny". Firmy zajmujące się recyklingiem mogą być zmuszone do sortowania i rozdzielania baterii według składu, aby spełnić wymagania osób kupujących materiały z recyklingu, co komplikuje proces i podnosi koszty.

Struktura baterii dodatkowo komplikuje wysiłki związane z recyklingiem. Akumulatory litowo-jonowe są kompaktowymi, złożonymi urządzeniami, występują w różnych rozmiarach i kształtach i nie są przeznaczone do demontażu. Każde ogniwo zawiera katodę, anodę, separator i elektrolit.

Katody na ogół składają się z elektrochemicznie aktywnego proszku (LCO, NMC itp.) zmieszanego z sadzą i przyklejonego do kolektora prądu z folii aluminiowej za pomocą związku polimerowego, takiego jak poli (fluorek winylidenu; PVDF). Anody zwykle zawierają grafit, PVDF i folię miedzianą. Separatory, które izolują elektrody, aby zapobiec zwarciom, to cienkie, porowate folie z tworzywa sztucznego, często z polietylenu lub polipropylenu. Elektrolit jest zazwyczaj roztworem LiPF6 rozpuszczonym w mieszaninie węglanu etylenu i węglanu dimetylu. Elementy są ciasno nawinięte lub ułożone w stos i bezpiecznie zapakowane w plastikową, lub aluminiową obudowę.

Duże pakiety baterii zasilające pojazdy elektryczne mogą zawierać kilka tysięcy ogniw pogrupowanych w moduły. Pakiety zawierają również czujniki, urządzenia zabezpieczające i obwody kontrolujące działanie baterii, z których wszystkie dodają kolejną warstwę złożoności i dodatkowe koszty demontażu i recyklingu.

O ile typowe akumulatory samochodowe nie wymagają szczególnych warunków, to nowoczesne akumulatory litowe, gdyby chcieć poddać je efektywnemu recyclingowi wymagają dokładności pracy na poziomie mikroskopu. Dlatego typowe akumulatory podlegają niemal 100 proc. recyclingowi, a te nowoczesne w ilościach poniżej błędu statystycznego.

Kilka dużych zakładów pirometalurgicznych prowadzi obecnie testowo recykling akumulatorów litowo-jonowych. Jednostki te, które często pracują w temperaturze około 1500 °C, odzyskują kobalt, nikiel i miedź, ale nie lit, glin ani jakiekolwiek związki organiczne, które ulegają spaleniu. Instalacje są kapitałochłonne, po części ze względu na konieczność oczyszczania emisji toksycznych związków fluoru uwalnianych podczas wytapiania. Dla odmiany w Chinach testuje się recykling niskotemperaturowy, który pozwala na przykład na odzyskanie litu, jednak stosuje się podczas tego procesu wysokożrące substancje. Jest to proces tańszy, ale bardziej szkodzi środowisku.

Zespół w Birmingham pracuje nad wysokodokładnymi robotami, które mają pozwolić na demontaż baterii, co zmniejszyłoby zagrożenia, jakimi mogą ulegać pracownicy oraz umożliwiłoby odzyskanie większej ilości surowców.

Chociaż większość technologii recyclingu baterii znajduje się na wczesnym etapie rozwoju, zapotrzebowanie na nie rośnie. Obecnie liczba zużytych akumulatorów pojazdów elektrycznych jest niska, ale wraz z rozwojem technologii będzie rosnąć.

Krzysztof Jaroszuk

Dyskusja o korzyściach wynikających z transformacji energetycznej koncentruje się na korzyściach wynikających z odchodzenia od energii pozyskiwanej z tradycyjnych źródeł. Jednak bardzo rzadko porusza się problem kosztów związanych z degradacją środowiska, która jest efektem wprowadzania alternatywnych rozwiązań. Trudno również o rzetelny bilans kosztów i zysków „zielonej rewolucji", co utrudnia jej holistyczną i obiektywną ocenę. (Red.)

[i]https://circulareconomy.europa.eu/platform/sites/default/files/metal_demand_for_renewable_electricity_production_in_the_netherlands.pdf

[ii]https://trends.directindustry.com/project-112007.html

[iii]https://ideas.repec.org/a/eee/rensus/v67y2017icp491-506.html

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

18 listopada 2022 - Warszawa – Polska *Numer 20(32)/2022*

Boję się klimatyzmu.

Oto powody, dla których trzeba się go bać

Ludzie mają w sobie wrodzony instynkt religijny. Nawet najbardziej zagorzała forma ateizmu jest też pewną formą wiary. Ci, którzy ją przejawiają, wykazują się niejednokrotnie zdecydowanie większą gorliwością od letnich teistów. Pierwsi, na każdym kroku mówią o tym, że żadnego Boga nie ma praktycznie zawsze, kiedy mają okazję zabrać publicznie głos. Szczycą się swoją niewiarą i z poczuciem wyższości odnoszą się do tych, którzy nie podzielają ich „oświeconych" poglądów. Teiści zaś, szczególnie proweniencji chrześcijańskiej, niejednokrotnie jakby wstydzili się tego, że wierzą. Tematów religijnych, rozmów o Bogu starają się unikać. Krępują się o tym mówić, bo co powiedzą ci postępowi, co to dokonali już aktu apostazji i cieszą się swoją (wydumaną) od religii wolnością.

Tymczasem żyjemy w czasach niezwykle przesiąkniętych religią. Nową, świecką, bezbożną, ale religią. Ma ona swoje credo, ma swoich kapłanów, nawet pewien wymiar eschatologii i kary się w niej przewija. Tym wyznaniowym wynalazkiem XXI wieku jest klimatyzm. To religia, której głosiciele są pełni dumy z tego, że mogą promować tę swoistą konfesję. Nie znoszą przy tym niedowiarków. Uważają ich za ciemniaków, to przez nich „matka ziemia cierpi", to przez nich grożą nam różne kataklizmy wywołane przez globalne ocieplenie. Stąd nawracają, nawracają siłą. Może nie fizyczną (jeszcze?), ale bez wątpienia mamy do czynienia z przemocą. Nie zgadzasz się z zasadami klimatyzmu? To znikaj z przestrzeni publicznej, nie masz prawa się pokazywać i mówić tego, co myślisz. Takich jak ty usuwa się z debaty, nie daje się im prawa głosu, a kiedy uda się im go zabrać, to trzeba ich zagłuszyć. Jak? Epitetami. Kluczem jest atak ad personam, czyli nie na to, co ma się do powiedzenia, tylko na tego, kto daną tezę wypowiada. Że tuman, że niedouczony, że nie rozumie, bo głupi. Tu *sky is the limit*. O takim powiedzieć można praktycznie wszystko.

Można by na to jeszcze machnąć ręką. To nie byłoby dobre podejście, ale z drugiej strony, kto chciałby się użerać z przemądrzałymi i napastliwymi wyznawcami klimatyzmu, szkoda ich, ale trudno, co zrobić. Tyle że oni nie poprzestają na słowach. Oni chcą nam meblować świat od góry do dołu. Wpływają na prawo, na biznes, na to, jak żyjemy.

Zacznijmy od legislacji. Tu ekspansja jest totalna. Jej przykładem jest unijny „zielony ład". W jego efekcie Unia Europejska ma stać się zeroemisyjna netto do 2050 roku. Stąd opłata za emisję dwutlenku węgla, czyli potężny narzut, szczególnie na unijny przemysł, który generuje gigantyczne koszty i pozbawia, głównie produkcyjną część gospodarki, konkurencyjności. Przy tym klimatystów nie interesuje, że jak nie z Europy to dwutlenek węgla trafi do atmosfery z Azji czy Ameryki Południowej. To tam przenosić się będą producenci cementu czy stali. I co więcej, będą w nowych miejscach przyjmowani z otwartymi ramionami. Czy Chińczycy, którzy miesięcznie wydobywają wielokrotnie więcej węgla niż Polska w ciągu całego roku, będą się przejmować zielonym ładem? Czy będą się nim przejmować w Indiach? Bądźmy poważni i nie wierzmy w deklaracje. To, że ten czy inny urzędnik na zjazdach COP-owskich coś tam zadeklaruje, nie ma żadnego znaczenia. Oni walczą o dominację, a gospodarka jest jednym z narzędzi temu służących. Dlatego Pekin nie zawaha się przed zwiększeniem wydobycia węgla wtedy, kiedy uzna to za stosowne. Głupotą jest myśleć, że będzie inaczej. W efekcie produkcja będzie, ale nie u nas. U nas będą padające firmy, utrata miejsc pracy i wysokie ceny.

To jednak nie wszystko. Do tego dochodzi jeszcze słynne ESG. Firmy mają cele zrównoważonego rozwoju realizować same z siebie. Przy czym duże korporacje będą wymuszać na mniejszych, aby te były eko. Jak? Np. tak, że nie podpiszą z nimi umowy na dostawy tego czy innego produktu, bo dana firma za mało inwestuje w OZE. Prowadzisz biznes uczciwie, ale nie masz wiatraków albo farmy fotowoltaicznej, to dowiedzenia! Nie będzie kontraktu i można się zwijać.

Nie twierdzę oczywiście, że nie należy dbać o środowisko i rozwijać niezbędnych do tego technologii. To konieczność. Chodzi mi raczej o tempo, o to, że jedynym efektem tego szaleństwa nie będzie ograniczenie globalnej emisji CO_2, tylko rozłożenie na łopatki gospodarki i likwidacja wielu miejsc pracy. Skorzystają ci, dla których klimat czy środowisko to zupełnie nic nieznaczące hasła. Będzie zatem gorzej niż było. Rozsądne działania muszą być przemyślane i dostosowane do realiów.

Ale dotknie to nie tylko firm. Także zwykli ludzie odczują to w swoich portfelach. Jeśli coś uderza w produkcyjną część gospodarki, to dotknąć będzie musiała również konsumentów. Bo przecież ci kupują to, co inni wyprodukowali. Czeka nas zatem epoka wysokiej inflacji, a kto wie, może nawet chronicznych niedoborów. Wszak klimatyzm dotyczy nie tylko przemysłu, ale i rolnictwa. Droga będzie więc żywność. Niewykluczone, że dojdzie do poważnych ograniczeń w hodowli bydła. Zmniejszy się zatem podaż mięsa. Samochody będą luksusem, bo te z napędem spalinowym mają niebawem niknąć z naszych ulic. Podróż samolotem? Owszem ale dla bogaczy. Nie, to nie są strachy na lachy. To konsekwencje klimatycznej religii, która stawia ogromne wymagania. Obiecuje zbawienie, którego nie będzie. Będzie drożyzna i ekonomiczne załamanie. Klimat nie zyska na tym nic.

Z tych wszystkich powodów uważam, że klimatyzm to potężne zagrożenie, którego się boję, i przed którym przestrzegam. Jest jeszcze czas, aby się opamiętać.

Kamil Goral

Czy Komunistyczna Partia Chin finansowała kandydatów politycznych w Kanadzie?

Kanadyjska Służba Wywiadu Bezpieczeństwa (CSIS) miała powiadomić premiera Trudeau, że KPCh próbowała wywierać wpływ na wybory w Kanadzie, a nawet ulokowała swoich agentów w biurach wybranych członków parlamentu. Zgodnie z tymi informacjami KPCh zamierzała nawet ukarać tych kanadyjskich polityków, którzy wypowiadali się przeciwko Chinom lub byli przez Pekin uważani za zagrożenie.

Jak twierdzi Global News, CSIS nie zidentyfikowała żadnego z 11 kandydatów. Jednak wpływy KPCh sięgały zarówno Partii Liberalnej Justina Trudeau, jak i opozycyjnej Konserwatywnej Partii Kanady. Zarzuty koncentrują się głównie wokół pieniędzy rzekomo przekazywanych z chińskiego konsulatu w Toronto kandydatom w wyborach federalnych oraz personelowi kampanii. Pieniądze miały ponoć zostać przekazane przez członka parlamentu prowincji Ontario i członka sztabu kandydata federalnego. W grę wchodziło co najmniej 250 tys. dolarów.

Ani Biuro Premiera Kanady, ani CSIS nie udzieliły konkretnych odpowiedzi na temat zarzutów. Jednak przedstawiciele CSIS stwierdzili, że KPCh próbuje „prowadzić działania, które stanowią bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i suwerenności Kanady". Zarzuty dotyczące ingerencji KPCh w sprawy wewnętrzne kraju pojawiły się po odkryciu, że KPCh założyła nieoficjalne „posterunki policyjne" w Kanadzie i innych krajach zachodnich. Trzy z nich miały znajdować się w Toronto, a ich istnienie ujawniła we wrześniu grupa obrońców praw człowieka Safeguard Defenders. Jak twierdzą członkowie grupy, posterunki mają na celu przekonywać do powrotu chińskich obywateli, którzy wcześniej złamali chińskie prawo.

Weldon Epp, kierownik ds. Chin w Global Affairs Canada, powiedział w zeszłym miesiącu komisji Izby Gmin: „Działalność tego typu byłaby całkowicie nielegalna, niewłaściwa i stanowiłaby przedmiot bardzo poważnych zarzutów. Dowody wskazują na to, że największym elementem zagranicznej ingerencji w Kanadzie przez podmioty państwowe są źródła pochodzące z Chińskiej Republiki Ludowej". Dodał również, że w ostatnich latach miejscowi chińscy dysydenci coraz bardziej obawiają się zasięgu KPCh w Kanadzie.

Źródło: Breitbart

NOWY ŚWIAT 24
Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów
18 listopada 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 20(32)/2022*

Silne starcia proizraelskich organizacji podczas wyborów w USA

W trakcie niedawnej kampanii wyborczej do Kongresu Stanów Zjednoczonych wyjątkowo aktywne były organizacje proizraelskie. Rywalizujące ze sobą AIPAC i J Street PAC prowadziły wojnę jak nigdy dotąd – pisze izraelski dziennik „Haaretz".

AIPAC i J Street ostro zaangażowały się w amerykańskie wybory parlamentarne, angażując w wiele wysiłku i środków. Przedstawiciel AIPAC powiedział w oświadczeniu: „W ciągu niespełna roku AIPAC stał się największym proizraelskim komitetem PAC w kraju – ponad 6 tys. członków przekazało ponad 17 mln dolarów za pośrednictwem AIPAC PAC na rzecz 365 kandydatów demokratów i republikanów – potwierdzając, że bycie proizraelskim jest zarówno dobrą polityką, jak i dobrym politykiem".

Natomiast przewodniczący J Street Jeremy Ben-Ami stwierdził, że „J Street jest głęboko dumna z tego, że wspiera tylko tych kandydatów, którzy popierają proizraelskich, propokojowych kandydatów, którzy są za demokracją i dyplomacją. Jesteśmy dumni, że jesteśmy politycznym domem i głosem dla znacznej większości żydowskich Amerykanów, którzy odrzucają etnonacjonalistyczny ekstremizm ruchu republikańskiego MAGA i jastrzębią, szkodliwą politykę zagraniczną promowaną przez prawicę".

„Haaretz" podaje, że w momencie pisania opublikowanego 9 listopada artykułu „J Street PAC miało na koncie 105 zwycięstw, 9 porażek i 23 wyścigi, które są zbyt bliskie, by je rozstrzygnąć – ponad połowa wyborów demokratów w Izbie to wybory popierane przez J Street PAC. Z kolei AIPAC poinformowała, że ponad 95 proc. popieranych przez nią kandydatów odniosło zwycięstwo".

AIPAC formalnie zasiliło przestrzeń kampanii wyborczej, tworząc, pod pozorem ochrony relacji USA-Izrael, komitet akcji politycznej, popierający bardzo kontrowersyjnych republikanów, w tym nawet negacjonistów.

Zmagania AIPAC

AIPAC pochwaliła się publicznie zwycięstwami swoich kandydatów z ramienia demokratów nad „antyizraelskimi" przeciwnikami w prawyborach, takimi jak David Scott, Morgan McGarvey, Shontel Brown, Lucy McBath i Haley Stevens.

Zwycięska, wspierana przez AIPAC proizraelska klasa demokratów jest bardzo zróżnicowana. Wystarczy wspomnieć takie nazwiska jak: Robert Menendez Jr, Don Davis, Jared Moskowitz, Robert Garcia, Valerie Foushee i Glenn Ivey. Tymczasem inni popierani przez organizację kandydaci demokratów, którzy wygrali, to Vicente Gonzalez i Henry Cuellar w Teksasie, Angie Craig w Minnesocie, Chris Pappas w New Hampshire i Kathy Manning w Karolinie Północnej.

Jednak Elaine Luria, najbardziej proizraelska demokratka w Kongresie, sojuszniczka AIPAC i kluczowa kandydatka organizacji z ramienia demokratów, przegrała z republikańską kandydatką Jennifer Kiggans. Jest to niewątpliwie duży cios dla proizraelskiego skrzydła Partii Demokratycznej.

Porażki i zwycięstwa J Street

Także J Street odniosła szereg zwycięstw. Najważniejszym była wygrana Summer Lee w Pensylwanii. Zwyciężyła pomimo wydanej przez Super PAC United Democracy Project AIPAC ogromnej kwoty, ponad miliona dolarów, by ją pokonać.

„Ramię kampanii demokratów w Izbie zebrało się za Lee, a republikanie z kolei nie tylko wzięli ją na celownik, ale próbowali połączyć ją z sąsiadującymi z nią demokratami z Pensylwanii, którzy startują w konkurencyjnych wyścigach do Izby. Żadna z reklam AIPAC nie wspominała jednak o Izraelu, co rodzi pytania o jej eksperyment polityczny" – zauważa izraelski dziennik.

J Street cieszy też zwycięstwo Johna Fettermana w wyścigu do Senatu Pensylwanii, udana reelekcja reprezentanta Andy'ego Kima w New Jersey, reelekcja reprezentantki Sharice Davids w Kansas oraz zwycięstwo nowo wybranego demokratycznego reprezentanta Setha Magazinera w Rhode Island. Inni zwycięscy demokraci, wspierani przez organizację, to Hillary Scholten w Michigan i Nikki Budzinski w Illinois.

Jednak J Street poniosła też znaczące porażki. Wspierana w wyścigu do Senatu Cheri Beasley poległa w walce z republikaninem Tedem Buddem w Karolinie Północnej. W Ohio przegrał natomiast Tim Ryan.

Największy zawód spotkał J Street w Nebrasce, gdzie popierany przez organizację demokratyczny kandydat Tony Vargas przegrał z republikaninem Donem Baconem. Na dodatek ten kluczowy kandydat AIPAC zwyciężył niedużą przewagą głosów.

„Haaretz" zauważa, że „wyścig w Nebrasce uwypuklił polityczną trudność AIPAC z politycznym poparciem w konkurencyjnych wyścigach. AIPAC wskazał Bacona jako jednego z najbardziej zagorzałych zwolenników Izraela, tym bardziej na czasie, że jego miejsce zostało zidentyfikowane jako kluczowy potencjalny flip demokratów od czasu, gdy został wybrany i stał się bardziej podatny na ataki po odrzuceniu Trumpa".

W 2020 r. okręg Bacona głosował na Bidena, a w ostatnich miesiącach jego miejsce stało się jeszcze bardziej zagrożone dzięki jego poparciu dla ogólnokrajowego zakazu aborcji bez wyjątków.

Nie będący Żydami Bacon wraz z demokratą Henrym Cuellarem w styczniu utworzyli w Kongresie klub „Torah Values". Spotkało się to wówczas z zamieszaniem i drwinami. Klub obiecywał przekrojowe podejście do „zwalczania antyizraelskiej bigoterii, ochrony wartości i praw społeczności żydowskiej do swobodnego wyznawania religii". Został jednak skrytykowany przez establishment amerykańsko-żydowski jako błędna próba walki z antysemityzmem.

Co cieszy i martwi obie organizacje

Zarówno AIPAC, jak i J Street poparły zwycięską kandydatkę demokratów Abigail Spanbgerer.

Nie po myśli obu proizraelskich organizacji jest natomiast porażka Toma Malinowskiego, wiceprzewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych i jednego z faworytów amerykańskiego establishmentu żydowskiego. Jest on uznawany za niezwykle ważnego eksperta w sprawie polityki zagranicznej i za jedną z najbardziej rozważnych postaci w Waszyngtonie, jeśli chodzi o sprawy Bliskiego Wschodu, a w szczególności Izraela i Palestyny. Ostatecznie przegrał on z republikaninem Tomem Keanem Jr.

Obie organizacje świętować mogą za to zwycięstwo w Michigan żydowskiej weteranki CIA, demokratki Elissy Slotkin. Priorytetem swojej kadencji uczyniła ona edukację o Holokauście i zwalczanie antysemityzmu.

Źródło: Haaretz

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

18 listopada 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 20(32)/2022*

O upadku Francji

Francja była kiedyś najwspanialszym krajem świata, który przewodził zachodniej cywilizacji. Teraz jednak wpadła w spiralę upadku. Nawet jej obywatele zdają sobie z tego sprawę: w ubiegłorocznym sondażu aż 61 proc. zapytanych Francuzów przyznało, że ich ojczyzna chyli się ku upadkowi. Co gorsza, czują, że nie mogą temu zapobiec – informuje „The Telegraph".

Francuzów przepełniają dziś złość i pretensje. Napięcie narasta i przemoc wydaje się tuż za progiem – jak cztery lata temu przy okazji protestów żółtych kamizelek. Jeśli spojrzymy za fasadę tego upadającego państwa, znajdziemy tam naród pogrążony w głębokim kryzysie egzystencjalnym.

Przyczyn tego kryzysu jest wiele. Podstawową jest jednak rozpacz – rozpacz narodu od dawna oszukiwanego, pozbawionego jakiejkolwiek wiary w swoich przywódców, nawet w chwilach, kiedy akurat mówią prawdę. Nastroje można nazwać apokaliptycznymi: wielkość Francji wydaje się pieśnią przeszłości, teraźniejszość jest trudna do zniesienia, a perspektywy na przyszłość nie wyglądają ciekawie.

Na początku 2022 r. trwała jeszcze kampania prezydencka. Emmanuel Macron rywalizował z Marine Le Pen. Kiedy Rosja rozpoczęła inwazję na Ukrainę, Macron przedstawił Le Pen jako sojuszniczkę Putina i łatwo zdobył znaczną większość głosów.

Ponowne zwycięstwo Macrona nie było jednak świętowane z taką pompą jak jego pierwsza wygrana pięć lat temu. W 2022 r. mało kto traktuje poważnie jego wyborcze obietnice. Został wybrany jako mniejsze zło. Jego partia szybko zresztą straciła kontrolę nad francuskim Zgromadzeniem Narodowym – już po miesiącu zdominowała je skrajna prawica i skrajna lewica.

To był silny cios dla Macrona – jego rządy nad Francją stały się tylko teoretyczne, sprawując urząd prezydenta, został pozbawiony faktycznej władzy i chwały, jaką dawniej próbował zdobyć generał de Gaulle.

Teraz Macron próbuje odbudować zaufanie u francuskich obywateli. Robi to, wyrażając prawdę znaną wszystkim od dawna: że Francja przestała być dumnym przodownikiem europejskiej cywilizacji, że stała się narodem, który sam ze sobą źle się czuje, który nie potrafi zachować własnej tożsamości i nie jest już światowym wzorem praw człowieka.

W wielu regionach Francji niekontrolowana imigracja i alienacja ludności muzułmańskiej doprowadziły do atmosfery strachu lub wściekłości.

Kiedy niedawno ujawniono zabójstwo 12-letniej Loli, Macron skomentował sprawę w wywiadzie telewizyjnym. Choć twierdził, że wiele udało się osiągnąć w zakresie praworządności i porządku na ulicach, to po raz pierwszy wyartykułował niewygodną dla niego prawdę, która jest już doświadczeniem większości Francuzów: „Jeśli spojrzymy na przestępczość w dzisiejszym Paryżu, nie możemy nie zauważyć, że co najmniej połowa przestępstw pochodzi od ludzi, którzy są obcokrajowcami, albo nielegalnymi imigrantami, albo tymi, którzy czekają na pozwolenie na pobyt".

Rok temu, gdyby podobne twierdzenie padło z ust któregoś z polityków francuskiej prawicy, Macron stanowczo by go potępił. Musi być dziś naprawdę zdesperowany, skoro sam wypowiada te słowa. Bo co one znaczą? Że Francja utraciła kontrolę nad własnymi granicami – to na pewno. Ale też znaczy to, że coraz większa część społeczeństwa, wywodząca się z byłych francuskich kolonii, nie jest dziś zintegrowana z resztą i nie potrafi się zintegrować.

To, co dzieje się w Paryżu, odzwierciedla sytuację w całej Francji. Bezprawna anarchia, jaką widzimy w stolicy, przekłada się na niemal każde inne miasto. Popisane mury, zaśmiecone ulice, akty wandalizmu – te paryskie problemy nie są dłużej paryskimi problemami, dotyczą wszystkich regionów Francji.

Infrastruktura Francji dosłownie się rozpada, nowe budynki wznoszone według projektów popularnych architektów pokazują upadek urbanistyki, degenerują się też maniery, moda, sztuka. Pożar katedry Notre Dame w 2019 r. był przykrym symbolem upadku chrześcijaństwa.

Niekorzystna sytuacja polityczna w kraju wynika z problemów ekonomicznych. Te zaś zostały spotęgowane najpierw przez pandemię koronawirusa, później przez wojnę na Ukrainie, choć oczywiście ich nie wywołały. Zarówno lewicowe, jak i prawicowe rządy we Francji przez lata tłamsiły przedsiębiorczość przez nadmierną kontrolę aparatu państwowego, czego wynikiem była scentralizowana gospodarka niezdolna, by dostosować się do globalnych przemian.

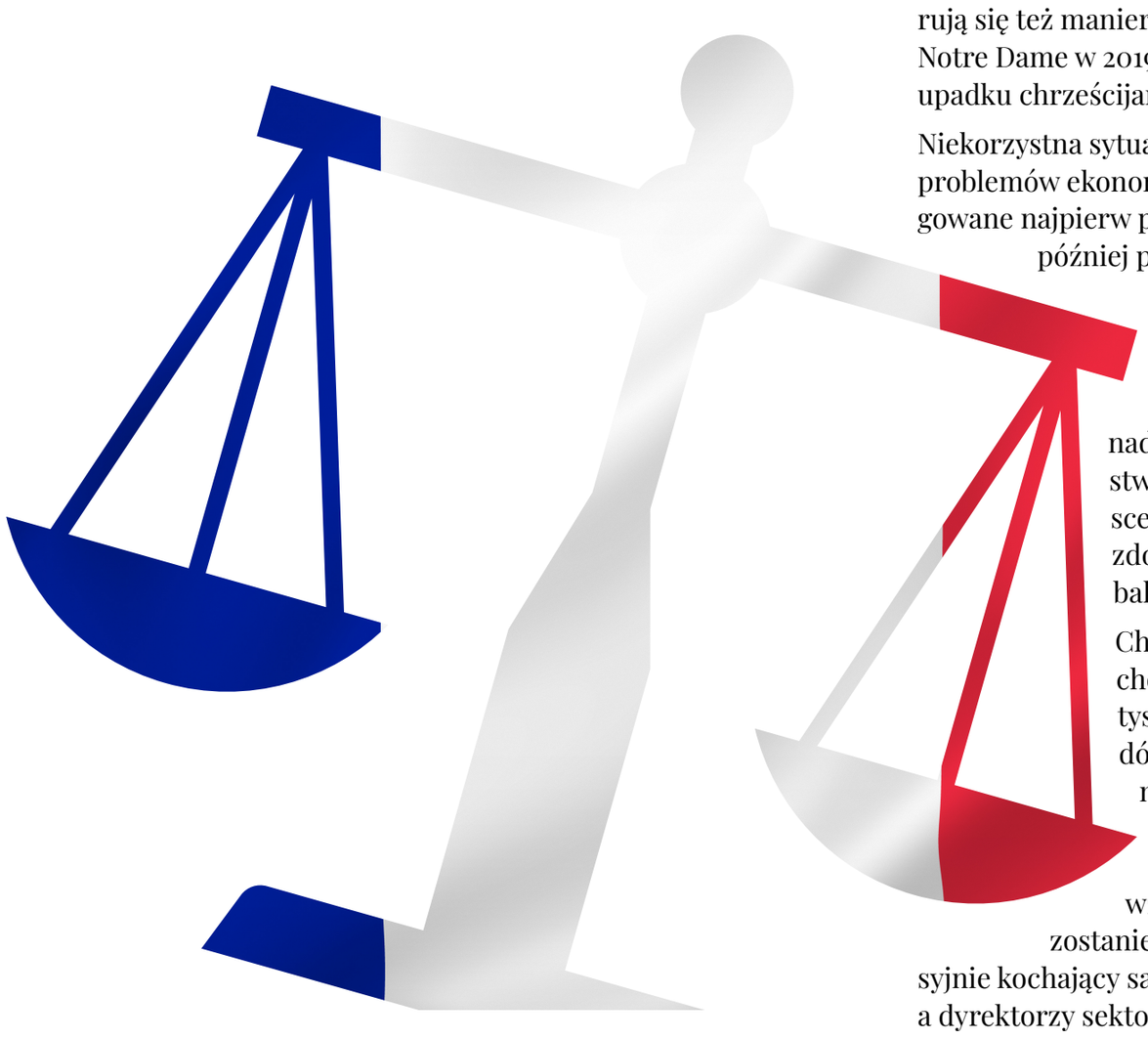

Choćby francuski przemysł samochodowy. Wciąż pracuje w nim 800 tys. ludzi, ale sprzedaż samochodów spadła o 17 proc. względem minionego roku. Renault, Citröen czy Peugeot byli wielkimi graczami, ale teraz – w wyniku wzrostu cen energii – walczą o pozostanie na rynku. Naród niemal obsesyjnie kochający samochody porzucił swoją miłość, a dyrektorzy sektora nie mają pojęcia, co robić.

Kryzys dotknął też francuski sektor energetyki jądrowej – a zapewnia ona aż 70 proc. prądu w tym kraju. Francja ma 56 reaktorów jądrowych, ale ich elementy zestarzały się i często nie nadają do dalszej eksploatacji, w wyniku czego działa niecała połowa – co jest naprawdę niepokojące w obecnej sytuacji geopolitycznej oraz w perspektywie nadchodzącej zimy.

Zarządzający francuskimi elektrowniami EDF został znacjonalizowany. Jego pierwszym „osiągnięciem" było importowane większej ilości energii niż ta, która została wyprodukowana w kraju. Z taką sytuacją Francuzi nie mieli do czynienia od dekad. Szwecja prześcignęła Francję w eksporcie energii elektrycznej, a dawny potentat stracił nawet wypracowane przed laty bezpieczeństwo energetyczne.

Problemy pojawiają się też w sektorze żywności. Krajowe rolnictwo traci, zyskuje zaś zagraniczna konkurencja. Jest to szczególnie widoczne na rynku wołowiny. Eurostat podaje, że przez ostatnie 20 lat ilość wołowiny produkowanej we Francji spadła do 1,4 mln ton, czyli zmniejszyła się o 9 proc.

W tym samym czasie szaleje inflacja i w sektorze żywności sięgnęła 11,8 proc., a same produkty świeże są we Francji droższe już o 17 proc. w porównaniu do zeszłego roku. Wynik ten jest niższy niż średnia w Unii Europejskiej, ale dzieje się tak za sprawą państwowych dotacji. Ta strategia nie sprawdzi się jednak w dłuższej perspektywie, bo jedynie ukrywa prawdziwy obraz sytuacji.

Z kolei wysokość podatków we Francji należy do czołówki krajów rozwiniętych. Stosunek obciążeń podatkowych do PKB wynosi aż 45,5 proc. i jest drugim pod względem wysokości w OECD. Wysokie pozostaje także bezrobocie, zwłaszcza wśród osób młodych – sięga 15,6 proc. Międzynarodowy Fundusz Walutowy prognozuje, że francuski PKB w tym roku wzrośnie o 2,5 punktu procentowego.

Francuski przemysł upada i dzieje się to mimo protekcjonistycznej polityki handlowej. Obszary wiejskie także nie umknęły zapaści. Narodowy Ruch Le Pen zdobywa w sondażach nawet 50 proc. poparcia – zwłaszcza poza miastami, na terenach przemysłowych i wiejskich.

Ciąg dalszy na stronie 13

Krajowy urząd statystyczny podał w zeszłym roku, że trzy miliony domów we Francji to pustostany. W przeliczeniu procentowym daje to ponad 8 proc. ogółu budynków mieszkalnych. Są nawet gminy, gdzie wskaźnik ten przekroczył 20 proc.

W wyniku scentralizowanej biurokracji, jaka we Francji tłumiła wolny rynek, nie powstały nowe gałęzie przemysłu, które teraz mogłyby zrekompensować upadek starszych. Wysokie podatki i nadmiar biurokracji ani nie przyciągnęły inwestorów, ani nie przekonały młodych przedsiębiorców i utalentowanych ludzi do pozostania na francuskim rynku.

Jednym z paradoksów współczesnej Francji jest to, że chociaż to Francuzi wymyślili tradycyjne restauracje, dzisiejsi mieszkańcy Francji odwiedzają McDonald's chętniej niż pozostali Europejczycy. To niejedyna amerykańska moda, która działa na szkodę Francji. Podobieństwa znajdziemy także na uniwersytetach, gdzie szaleje woke culture. Nawet prezydent Macron stwierdził już, że polityka tożsamości obecna w środowiskach naukowych i politycznych grozi „rozerwaniem republiki na dwie części".

Minister Edukacji powiedział dwa lata temu – po tym, jak islamista brutalnie zamordował nauczyciela Samuela Paty'ego – że „islamscy lewicowcy" działający na uniwersyteckich kampusach przymykają oko na muzułmański radykalizm. Jego słowa wywołały burzę na francuskich uniwersytetach. Frédérique Vidal zauważył wtedy, że część wykładowców postrzega „wszystko przez pryzmat swojej chęci dzielenia, rozszczepiania, wyznaczania wroga".

Wydaje się, że woke culture zagraża życiu intelektualnemu każdego rozwiniętego kraju, ale Francja jest zagrożona szczególnie, ponieważ dla niej to nic nowego. Już raz znalazła się pod takim wpływem. Ponowne słabym ogniwem okazały się uczelnie. Teraz podobnie jak w 1968 r. do głosu doszło pokolenie studentów pełnych samozadowolenia, przekonanych o swojej samowystarczalności. Zagłuszają swych nieśmiałych profesorów. Starsi Francuzi dopiero powoli zauważają, jak na intelektualnych guru wykreowano tych, którzy w następstwie wydarzeń maja 1968 r. przejęli władzę.

Spośród ówczesnych aktywistów najsprytniejszym, a zarazem najbardziej cynicznym wydał się Michel Foucault. Jego teksty i wystąpienia próbowały zmienić obraz francuskiej historii, społeczeństwa i uniwersytetów. Wiele czasu minęło od jego śmierci w 1984 r., nim Francja zaczęła otrząsać się spod jego złowieszczego wpływu.

Foucault – co nie było wyjątkowe pośród amoralistów brylujących po 1968 r. – pochodził z katolickiej rodziny należącej do klasy średniej i otrzymał świetne wykształcenie. To właśnie utrata tych elementów rodzi dziś wiele niezadowolenia wśród Francuzów. Kościół nie ma już takiego znaczenia jak dawniej. Burżuazja znacząco zmalała. Wartości rodzinne są kwestionowane. Edukacja nie stymuluje już do intelektualnych poszukiwań.

Dawniej edukacja we Francji stała na bardzo wysokim poziomie i wszyscy, którzy pamiętają tamte czasy, mają dziś szczególne powody do niepokoju. Lycées i grandes écoles mocno między sobą konkurowały, były bardzo elitarne, ale potrafiły przygotować śmietankę francuskich przywódców. Wszystko to minęło po 1968 r., zepsucie dotknęło wszystkie elementy systemu edukacji.

W zeszłym roku zamknięto elitarną francuską szkołę – École Nationale d'Administration. Kształciła ona urzędników i liderów politycznych. Kolejny paradoks: zamknął ją prezydent Macron, który sam jest jej wychowankiem. Uznał jednak, że instytucja ta propaguje elitarne myślenie grupowe. I znów paradoks, bo założył ją w 1945 r. de Gaulle, szukając sposobu wyrwania władzy z rąk klas wyższych.

Choć Macron jest produktem tego systemu edukacji, aktywnie przyczynił się do jego rozkładu. Francja ma coraz słabsze wyniki w Programie Międzynarodowych Osiągnięć Uczniów, jest dużo słabiej oceniana niż Wielka Brytania albo Niemcy. W rankingu umiejętności czytania w 2018 r. spadła z 19. na 23. miejsce. W innym rankingu pięćdziesięciu najlepszych uczelni na świecie, prowadzonym przez „Times Higher Education", znalazł się tylko jeden uniwersytet z Francji – PSL (Paris Sciences & Lettres).

Za upadkiem francuskiej edukacji idzie także upadek francuskiej nauki. Widzieliśmy to w czasie pandemii koronawirusa, kiedy Francja wiedziała, że nie będzie w stanie samodzielnie opracować szczepionki. Zresztą wyszczepienie francuskiego społeczeństwa zajęło dużo dłużej niż na przykład brytyjskiego.

W dalszej konsekwencji to edukacyjne zubożenie wpłynęło negatywnie na sądownictwo, wojsko, medycynę, a nawet media. Zresztą jakość polityków też podupadła – ale nie ma wystarczająco dobrych dziennikarzy, by prowadzili ich merytoryczną, skuteczną krytykę. Życie publiczne we Francji zostało wyjałowione.

Za wewnętrznym rozpadem Francji idzie – jak łatwo przewidzieć – jej geopolityczny upadek. Francja w niewielkim stopniu mogła wesprzeć Ukrainę w walce z rosyjskim agresorem. Straciła też swoje wpływy w północnej Afryce. Francja musiała wycofać swoje wojsko z Mali, gdzie przez dziesięć lat zmagało się z grupami dżihadystów. Z powodu braku porozumienia z rządzącą tam juntą wojskową wojska brytyjskie zostały bez wsparcia lotniczego, a swoje wpływy w regionie mogła zwiększyć – poprzez wysłanie prywatnych najemników – Rosja.

Po Brexicie Francuzi próbowali dojść do porozumienia z Niemcami, ale teraz widzimy, jak mocno rozbieżne są ich unijne interesy. Nie doszło do planowanej wspólnej wizyty w Chinach, a niedawne spotkanie Macrona i Scholza niczego nie rozwiązało. Macron miał nadzieję, że po przejściu Angeli Merkel na emeryturę, to on zostanie liderem Unii Europejskiej, ale Scholz wyraźnie zaznacza, że Niemcy zamierzają iść dalej własną drogą.

Wreszcie upadek francuskiej potęgi dosięga także kultury wysokiej, w której przez wieki wiele osiągnęła. Co prawda niedawno przyznano Literacką Nagrodę Nobla 84-letniej pisarce francuskiej Annie Ernaux, ale jest ona autorką koncentrującą się na szczegółach swojej codziennej egzystencji. Owszem, może to robić wrażenie na odbiorcy, ale nie jest materiałem na wielką, ponadczasową literaturę. W jej prozie nie znajdziemy dumnego francuskiego narodu, a raczej echa solipsyzmu i nihilizmu charakterystyczne dla stanu upadku.

Na początku tego roku ukazała się powieść innego znanego obecnie pisarza francuskiego – Michela Houellebecqa. „Anéantir" („Zniszczyć") dzieje się w 2027 r., kiedy z urzędem prezydenta żegna się po drugiej kadencji Macron. Ale odchodzi na emeryturę w dość ponurych warunkach – Francję gnębi bieda i bezrobocie, do tego społeczeństwo szybko się starzeje. Nic dziwnego, że jednym z istotnych motywów powieści są śmiertelne choroby.

Houellebecq nie widzi przed Francją świetlanej przyszłości. Francja jest już w głębokim kryzysie – gospodarczym, społecznym, edukacyjnym, politycznym – i Macron nie jest w stanie tak szybko i skutecznie naprawić błędów, które do tego kryzysu doprowadziły. A pesymizm najsłynniejszego współczesnego pisarza tego kraju wiele zdradza o kondycji narodu.

Źródło: The Telegraph

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

18 listopada 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 20(32)/2022*

Francja nie rozumie współczesnych Niemiec

Spór między Francją a Niemcami sprowadza się często do kwestii gospodarczej, tymczasem w rzeczywistości ma on bardziej rozległy, strukturalny charakter. Nie chodzi też o same konsekwencje wojny rosyjsko-ukraińskiej dla Europy. Sam konflikt natomiast zaszedł tak daleko, że Francja i Rosja pokazują go otwarcie na międzynarodowej arenie – uważa „Le Figaro".

26 września 2017 r. prezydent Francji Emmanuel Macron wygłosił na Sorbonie przemówienie, które w jego mniemaniu miało dać początek przebudowy Unii Europejskiej. Jednak ku jego rozczarowaniu nie wywołało ono praktycznie żadnej reakcji w Berlinie. Ówczesna kanclerz Niemiec – mająca w Europie pozycję tak wysoką, że mogła handlować z Chinami i prowadzić politykę energetyczną z Rosją bez względu na reakcję Francji – świadomie kontrolowała to milczenie. Odpowiedź spadła na jej następcę, Olafa Scholza, a treść tego, co miał do powiedzenia w kwestii Unii, mogła tylko rozczarować Francję.

Scholz zrobił to – między innymi – podczas niedawnego przemówienia w Pradze (29 września) oraz podczas Kongresu Europejskich Socjalistów w Berlinie (15 października). W przeciwieństwie do Francji Niemcy nie chcą pogłębiania unijnych instytucji, przeciwnie: deklarują potrzebę rozszerzania Unii Europejskiej o kolejnych członków. Zdaniem Berlina Unia powinna rozrosnąć się do trzydziestu sześciu krajów, które dołączą do europejskiego rynku, na którym prym wiodą Niemcy, a także do europejskich struktur militarnych, którymi zarządza NATO. Widać w tym, że Scholz kontynuuje agendę swych poprzedników opowiadających się raczej za anglosaskim modelem atlantyckim niż republikańskimi tradycjami leżącymi w sercu Francji.

Podobne podejście można zaobserwować w działaniach niemieckiej Minister Spraw Zagranicznych Annaleny Baerbock oraz Roberta Habecka, Ministra ds. Gospodarki i Klimatu. To nowe pokolenie wykształcone na zagranicznych uniwersytetach, dla którego Francja i stosunki z nią nie są tak istotne, jak dla pokolenia ich rodziców. Dla nich współczesna Francja to synonim elektrowni atomowych, a z prawdziwym zainteresowaniem patrzą na strony świata. Choć inne teoretycznie opowiadają się za wartościami ekologicznymi i humanistycznymi, bez większych skrupułów wchodzą w relacje z krajami o wątpliwej reputacji, jeśli tylko mogą one poprawić niemiecką sytuację energetyczną.

Francja nie nadąża za tymi zmianami – spodziewają się, że niemieccy politycy w 2022 r. nadal będą czuli się dłużnikami Paryża. Tymczasem wcale tak nie jest. Francja przekonana, że jest światowym mocarstwem, nie zastanawia się nad geopolitycznymi ambicjami Niemiec i ich relacji w regionie Europy Środkowej oraz Wschodniej, a także krajów pozaeuropejskich – leżących w Azji Południowo-Wschodniej lub nad Zatoką Perską.

Francuscy politycy są cierpliwi i uważają, że ich postulaty zostaną w końcu zaakceptowane przez Berlin. Tymczasem Niemcy coraz lepiej i pewniej czują się w swoich interesach z Moskwą czy Pekinem, Pragą czy Dohą.

Dzisiejsza Francja nie może już występować przeciwko Niemcom. Nie ma odwagi odmówić włączenia państw Zachodnich Bałkanów do Unii Europejskiej. Tymczasem Niemcy próbują zacieśnić stosunki z innymi państwami, w tym Hiszpanią, która jest dla nich okazją na nowe dostawy gazu ziemnego i dotarcie do terenów Morza Śródziemnego, na których do tej pory panowała Francja.

Wydaje się, że Francuzi zapomnieli o skokowym charakterze europejskich zmian. Wydają się też nieświadomi tego, że niemiecka polityka weszła już w nową fazę.

Źródło: Le Figaro

Nowa strategia Europy w Afryce?

Dziennik „Le Razon" informuje, że prezydent Francji Emmanuel Macron ogłosił oficjalnie zakończenie operacji Barkhane. Ta trwająca w Sahelu od ośmiu lat operacja wojskowa miała na celu zwalczanie regionalnego terroryzmu. Jednak w 2021 r. Macron zapowiedział głębokie zmiany w strategii działania. Mają one za zadanie „zmniejszyć widoczność sił wojskowych w Afryce, co pozwoli skupić się na współpracy i wsparciu w zakresie sprzętu wojskowego, wywiadu i partnerstwa operacyjnego".

Na konferencji prasowej we francuskim mieście Tulon prezydent potwierdził, że operacja dobiegła końca. Równocześnie zapewnił, że wsparcie dla partnerów „będzie kontynuowane, ale zgodnie z nowymi zasadami, które oni określą". W najbliższym czasie Paryż przedyskutuje nową strategię z państwami zaangażowanymi w walkę z terroryzmem w Afryce (Unia Europejska i Stany Zjednoczone) oraz krajami afrykańskimi dotkniętymi tymi zmianami (Czad, Niger, Burkina Faso i Mauretania). Okres adaptacyjny dla francuskiej misji na Kontynencie będzie trwał około sześciu miesięcy.

Według słów Macrona celem jest „dostosowanie się do nowych czasów" i ułatwienie „bardziej wszechstronnej mobilizacji" zaangażowanych sił. Francja nadal jednak będzie odgrywać kluczową rolę w zabezpieczaniu południowej flanki Europy.

Rosnące nastroje antyfrancuskie

Operacja Barkhane rozpoczęła się w 2014 r. Stanowiła kontynuację operacji Serval mającej na celu walkę z oddziałami dżihadystów, przedostających się do Mali z Algierii i Libanu. Bojówki wykorzystały okres destabilizacji północnej części tego kraju, do której w 2012 r. doprowadziły powstańcze grupy Tuaregów. Działania kosztowały Francję średnio 800 mln euro rocznie, a śmierć poniosło 49 francuskich żołnierzy.

Obecny rząd malijski, na którego czele stoi pułkownik Assimi Goita, odciął się od Europy, podejmując współpracę z Rosją i grupą Wagnera. Efektem tego było wycofanie się Francji w sierpniu. Rząd Goity wielokrotnie oskarżał Paryż o finansowanie dżihadystów i wprowadzanie do kraju elementów wywrotowych, jeszcze bardziej destabilizujących sytuację.

Antyfrancuskie nastroje narastają w Nigrze, silne są też w Burkina Faso. W zeszłym miesiącu miał tam miejsce zamach stanu, w którym zwolennicy nowego prezydenta Ibrahima Traoré zaatakowali francuski konsulat i wyszli na ulice, skandując hasła przeciwko francuskiej obecności wojskowej. Krytykuje się nieskuteczność Francji w walce z dżihadyzmem, popularne są też plotki o ukrytych motywach, które mogą kierować Francuzami. Malijczycy często oskarżają Francuzów o „kradzież złota".

Tego typu sytuacje zmusiły Paryż do poszukiwania nowego kierunku, aby zapewnić bezpieczeństwo europejskie i zagwarantować swoją obecność w regionie.

Kraje afrykańskie odrzucające francuskie partnerstwo dostają się w strefę wpływów Rosji. Moskwa zaznaczyła swoją znaczącą obecność wojskową w Sudanie, Libii, Republice Środkowoafrykańskiej i Mali. W swoim ostatnim przemówieniu Macron odniósł się do wojny w Ukrainie, stwierdzając, że zarówno Francja, jak i reszta Europy muszą odnaleźć się w kontekście „gospodarki wojennej".

Zmiany wpłyną również na sytuację Hiszpanii w regionie. Obecnie w Mali służy 360 żołnierzy hiszpańskich (choć ich liczba ma się zmniejszyć w trakcie najbliższych rotacji). Oddziały są też obecne w innych krajach włączonych do operacji G-5 Sahel, choć tam ich zadania sprowadzają się do logistyki i doradztwa.

Stawką rozgrywek Francji i Rosji w Afryce jest obecność Europy w Sahelu. To kwestia bezpieczeństwa Starego Kontynentu w obliczu zagrożenia dżihadem, ale też sprawa zasobów tej części Afryki, patriotyczna duma kilkunastu krajów oraz stabilność południowej granicy Sahary. Wynik tego narastającego konfliktu, którego punkt ciężkości przesunął się na Ukrainę, pozostaje niepewny.

Źródło: La Razon

NOWY ŚWIAT 24

Każdy rząd pozbawiony krytyki jest skazany na popełnianie błędów

18 listopada 2022 - Warszawa – Polska *www.nowyswiat24.com.pl* *Numer 20(32)/2022*

Spadkobiercy oświeceniowych myślicieli

Praktycznie na każdym portalu społecznościowym widać dziś, jak bardzo spolaryzowany jest świat. Na Twitterze każdego dnia wybuchają wojny o kwestie polityczne czy społeczne, ale inne miejsca w sieci także są polem walk między zwolennikami lewicy i prawicy. Ciągle rośnie dzieląca ich przepaść.

Zewsząd docierają do nas nagłówki w stylu „Protestujący wzywają do utworzenia zgromadzenia konstytucyjnego", „Ponowne utworzenie państwa: alternatywa?" czy „Młodzi demonstranci podpalają Kongres Republiki". Tak wysoki poziom niezadowolenia społecznego i pragnienie głębokich przemian aktualizują pytanie o to, w jaki sposób powinno się dokonywać daleko idących zmian politycznych i ekonomicznych – czy na drodze rewolucji, czy poprzez reformy? „Gaceta" próbuje wyjaśnić to zagadnienie.

Edmund Burke (1729-1797)

Nie jest to nowy dylemat. Obecny był już w XVIII wieku, w sporze między dwoma wielkimi myślicielami tamtych czasów: Edmundem Burkiem i Thomasem Paine'em. Ich postawy stały się fundamentem popularnego dziś podziału na lewicę prawicę. Odmiennie postrzegali oni rewolucję francuską, a ich podejścia położyły fundamenty pod współczesną myśl polityczną, pokazując odmienne pojmowane zmian wśród konserwatystów i postępowców. Amerykański pisarz Yuval Levin nazwał ten spór Wielką Debatą, a Burke i Paine ją zapoczątkowali.

Edmund Burke myślał w sposób, który dziś określamy konserwatywnym. Był przekonany, że zmiany należy wprowadzać ostrożnie, że muszą one brać pod uwagę historię oraz tradycję danego narodu, że odpowiadać za nie powinny przejrzyste i uporządkowane reformy. W 1790 r. ogłosił swoje „Refleksje na temat rewolucji francuskiej", gdzie oceniał rewolucję jako ostateczność. Sceptycznie podchodził do podjętych przez Francuzów pod koniec XVIII wieku działań rewolucyjnych, ponieważ uważał, że pozbycie się złych elementów nie wymaga od razu obalenia całego istniejącego porządku politycznego oraz społecznego. W ten sposób bowiem pozbędziemy się nie tylko tego, co negatywne, ale też wszystkiego, co pozytywne.

Zmiana wprowadzana dla samej idei zmiany była przez Burke'a uważana za groźną. To, co zrobili radykalni rewolucjoniści we Francji, zdaniem Burke'a odcinało ten naród od jego własnej historii, ta zaś uważana była przez niego za źródło tradycji i mądrości. Dla niego wszystkie rewolucje przeceniały zdolności ludzkiego rozumu, przez co opowiadał się po stronie reform uwzględniających historyczną mądrość.

Inaczej myślał Thomas Paine. Z nim więcej wspólnego znaleźliby dzisiejsi zwolennicy zaczynania wszystkiego od nowa. Odpowiadając w 1791 r. na „Refleksje o rewolucji francuskiej", Paine napisał „Prawa człowieka". W traktacie tym zauważał, że zmian powinno się dokonywać poprzez rekonstrukcję całych reżimów w sposób dopasowany do nowych potrzeb jednostek. Jego zdaniem należy odrzucić dawne instytucje i przekonania podzielane przez przodków. Paine opowiadał się „za prawami żyjących i przeciwko temu, by rozporządzali nimi na mocy testamentu lub byli kontrolowani czy związani przez rzekomą władzę zmarłych; ale pan Burke utrzymuje władzę zmarłych nad prawami i wolnością żyjących".

Różnica między tymi myślicielami jest więc zasadnicza: Burke uważał, że przeszłości należy się poszanowanie, Paine był przekonany, że ludzki rozum może zaczynać wszystko od nowa. Ich poglądy na temat sposobu wprowadzania zmian, reform i rewolucji wpłynęły na kształtowanie się tego, co dziś znamy jako prawicę i lewicę.

Lewicowi postępowcy sądzą, że zorientowanie na przyszłość oznacza automatyczne zrywanie z przeszłością. Chcą za każdym razem pisać historię od nowa, tworzyć oryginalne konstytucje i prawa, dekonstruować zaś zastane normy społeczne i uprzednie osiągnięcia małych rewolucji. Nastawienie to przekroczyło już ekonomiczne i polityczne ramy, wkradając się do innych sfer, takich jak kultura.

Obecne głosy młodych często współbrzmią z Paine'em, ale nie ma w tym nic dziwnego. Idealizm jest typowy dla młodego wieku, podobnie jak naiwność. Możemy to zauważyć wśród wielu pokoleń. Niedawno widzieliśmy to w Chile, gdzie w 2019 r. wybuchła fala protestów organizowanych głównie przez ludzi młodych, chcących szybko zmienić swój kraj. Domagali się gwałtownego zwrotu politycznego i zmiany konstytucji. Wszystko to było bardzo po linii Paine'a, który pisał, że „okoliczności świata nieustannie się zmieniają, podobnie jak opinie ludzi; a ponieważ to żywi sprawują rządy, a nie zmarli, to tylko żywi mają prawo w nie ingerować, ponieważ to, co w danym momencie jest uważane za sprawiedliwe i celowe, może być niesprawiedliwe i niewygodne w innym momencie. W takim przypadku kto ma decydować: żywi, czy zmarli?".

W globalnej perspektywie Paine ma pewną rację. Rzeczywiście, niektóre relacje, kwestie czy prawa kiedyś wydawały się sprawiedliwe, a dziś uchodzą za całkowitą aberrację. Ale radykalizm Paine'a bierze się z nawoływania do przeprowadzania zmian jak najszybciej, uwzględniając zaledwie przyczynę potrzeby nowych rządów albo nowych instytucji. Ten pośpiech przeszkadza w uczeniu się na błędach, ale taką logiką kierują się dziś środowiska postulujące szybkie pisanie nowych konstytucji albo powstawanie nowych państw.

Wymazywanie wszystkiego nie jest jedynym sposobem na wprowadzanie zmian. Pozostają jeszcze reformy tego, co zastane. Dla Burke'a reforma polegała na przywróceniu czemuś należytego miejsca w politycznym, społecznym lub ekonomicznym porządku. To przywrócenie nie miało odbywać się w pośpiechu, przeciwnie – wymagało czasu i stopniowości, bo gwarantowały one, że przyjęte rozwiązanie nie okaże się gorsze od problemu, na jaki odpowiadało (a tak właśnie myślał o rewolucji francuskiej).

Burke nie miał łatwego zadania, w jego czasach pragnienie rewolucji było dość powszechne. I może nastały całkiem podobne czasy. Jednak to nigdy nie oznacza konieczności rezygnowania z reformatorskich wysiłków – zmiany przecież są konieczne. Burke pisał zaś, że „państwo bez środków do promowania zmian jest państwem bez środków do ich utrzymania".

Burke nie sprzeciwiał się więc samym zmianom, a jedynie nagłemu sposobowi ich wprowadzania. Dzisiaj zaś wielu młodych (i nie tylko) chciałoby przewrócić politykę i społeczeństwo do góry nogami, nie zważając na konsekwencje realizowania ich postulatów. Tymczasem Burke doradzał, aby podejmując zmiany, nie odrzucać pozytywnych aspektów tego, co ofiarowała nam przeszłość. „Mieliście wszystkie te zalety w waszych starych państwach, ale chcieliście raczej działać tak, jakbyście nigdy nie byli cywilizowani i jakbyście musieli to wszystko układać od nowa. Źle zaczęliście, bo od początku wzgardziliście wszystkim, co do was należało. Podjąłeś się swojego zawodu bez kapitału" – pisał.

To zadziwiające, że spór, który rozgorzał pomiędzy dwoma myślicielami w czasach oświecenia jest wciąż prowadzony przez ich ideologicznych spadkobierców – po dwóch wiekach! I wciąż użyteczne pozostają ich pisma w poszukiwaniach lepszej przyszłości.

Źródło: La Gaceta de la Iberosfera

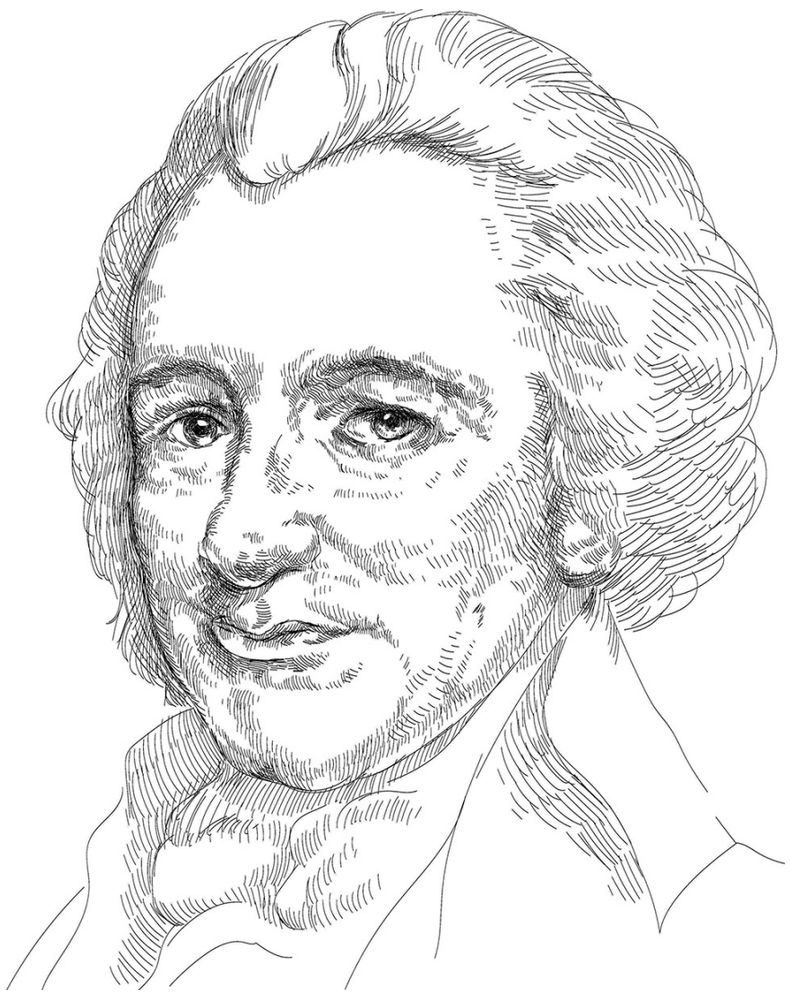

Thomas Paine (1837-1809)